

FIJOŁKI.

(Z CZESKIEGO, JANA NERUDY.)

Gdy skowronek piosnkę dzwoni,
Jak młodzieńczych serc marzenia,
Jak ta miłość co łzy roni,
Jak jéj pierwszych snów wspomnienia,
Tak fijołki kwitną hoże,
W perłach rosy a w pokorze.

Wonny gościu na téj ziemi,
Ty zwiastunie cudnéj wiosny,
Ty z barwami błękitnemi,
Znany wszystkim, acz niegłośny,
Nie wiesz o twych wdziękach, woni,
Choć każdy za tobą goni.

Gdy dojrzeje skwarne lato,
Gdy w jesieni zżółkną liście,
A za liści tych utratą
Szron posypie się srebrzyście,
Snów miłosnych złote chwile
Woń twa wskrzesi na mogile.

WIEDEŃ
NA POCZĄTKU BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Wyjątek z pamiętników S. z G. Grzegorzewskiéj.)

Przyjechawszy do Wiednia w roku 1817 stanęliśmy w hotelu pod białą Różą. Wyszedł do nas wyfrakowany i wypończoszkowany, ubrany w czarny frak i biały jedwabny krawat lokaj, drzwiczki od karety otworzył, stopnie spuścił i poprzedzając nas o parę kroków, zaprowadził do prześlicznego na drugiém piętrze apartamentu. Nim ludzie zdołali wnieść rzeczy, już lekki ogieniek płonął (wśród lata) na prześlicznym z białego marmuru kominku; był to zwyczaj miejscowy albo raczéj hygieniczna prezerwatywa przeciwko wilgoci, konieczna w lokalu nie zawsze zamieszkałym. Apartament składał się z trzech dużych pokoi, gabinetu i dwóch garderobek od tyłu dla służących i przedpokoju z przeforsztowaniem, za którém stało łóżko przeznaczone dla lokaja. W owym czasie postęp nawet za granicą nie doszedł do tego stopnia ulepszeń, aby się można tak jak dziś ograniczyć na służbie hotelowéj, zwłaszcza nam polakom nawykniętym do różnego kalibru służących, których chowamy a dawniéj jeszcze bardziéj chowaliśmy bez liczby i bez miary. Dawniéj jeżdżono albo swojemi końmi albo pocztą swoim powozem, koszta przejazdu ogólnie się opłacały, jedna lub dwie osób więcéj nie robiły różnicy; dziś duch wieku zwrócony jest szczególnie ku rachubie; koszta podróży są ściśle obrachowane, naznaczona cena na kolejach żelaznych, nie dopuszcza pod tym względem żadnéj wątpliwości. Przekonali się zatem nasi polscy turyści, że wożąc służących narażają się na wydatek któryby im dwa razy więcéj czasu pozwolił pozostać za granicą. Że zaś jest w charakterze naszym narodowym robić zawsze oszczędności nie do kieszeni, poszło za tém statystyczném obliczeniem, że trochę dłużéj siedziemy niż dawniéj za granicą, że ją częściéj odwiedzamy, bo nam się zdaje że nas mniéj podróż kosztuje. Stosownie do téj reformy w podróżach i właściciele hotelów zagranicznych musieli pozaprowadzać zmiany w urządzeniu swoich zakładów. Zwiększyli liczbę służących, pozaprowadzali wszędzie angielskim zwyczajem *table d'hote* rozciągający się do śniadań i wieczorowych przekąsek. Wielu z nich wynajmuje powozy i furgony utrzymujące nieustanną komunikację z banhofami i przewożące podróżnych i ich rzeczy, z czego wynika to proste następstwo, że wysiadłszy z wagonu podróżny jest przewieziony, ulokowany, ogrzany, nakarmiony, napojony, ubrany i rozebrany nie wymówiwszy ani jednego słowa, nie dawszy do zrozumienia najmniejszém poruszeniem palca czego sobie życzy lub żąda. W roku 1817 rzeczy szły odmiennym nieco trybem. Ulepszenia do których *dziś* mamy *pretensję* po większych naszych miastach, już wprawdzie za granicą *de facto* istniały, nie tylko w stolicach i w drobniejszych miastach ale nawet po wsiach, dla tego nie można je nawet nazywać *ulepszeniami*, gdyż jako pochodzące *z odwiecznego* ducha porządku, odznaczającego ludy środka zachodu Europy istnieć z dawna musiały. W roku 1817 był zatem w hotelu pod Różą, szwajcar wygalonowany z ogromną laską, w stósowanym kapeluszu, był jak powiadam wyfrakowany lokaj, froterowane schody, froterowane pokoje i przedpokój. To wszystko znajduje się *dziś* i u nas z tą rożnicą, że szwajcar tylko od *wielkiego dzwonu* ma stosowany kapelusz i laskę, tak zaś na codzienny użytek albo go wcale w bramie nié ma, albo téż sobie szczęśliwie zasypia *w loży*, lub nawet po prostu w przedsionku na szlabanie, ubrany w furażerkę z galonem którego koloru czy białego czy żółtego, po najsumienniejszéj inspekcji roze znać nie można; surdut ma łatany takiemiż obszyty galonami. Schody wprawdzie mają pretensję do politury, ale dotąd nie znają wosku, pokoje malowane ale zakopcone,

meble wprawdzie politurowane, ale kurz z nich dopiero przy gościu wycierany. To wszystko świadczy o dobrych *i postępowych* pomysłach właściciela, lecz nie na korzyść naszego ludu który już zawczasu sposobiemy do *elegancji*, kiedy on jeszcze pierwszych zasad porządku nie zna. W Wiedniu w hotelu pod Różą zastaliśmy, jak powiadam, schludny apartament na drugiém piętrze, a jeżeli czytelnik ciekawy wiedzieć jaką miały fizjonomję hotelowe mieszkania w Wiedniu roku 1817, będę miała przyjemność mu nasze pokrótce opisać. Wchodziło się długim korytarzem lampami oświeconym, od którego drzwi na lewo prowadziły do wązkiego przechodu, następnie do przedpokoju o jednym oknie w którym piękne politurowane przeforsztowanie oddzielało komunikacyę z pokojami, od mieszkania lokaja. W pokojach dywanów jeszcze wprawdzie niebyło, ale wszędzie rozpostarte chodniki z płótna, świadczyły o chęci ochronienia posadzki od błota lub prędkiego wytarcia. W pierwszym pokoju który był jadalny, na środku stał stół jesionowy okrągły wysuwany, ceratą obity, sztaluga za szkłem w mur wsunięta z wszelkiemi rekwizytami do codziennego użytku jak lichtarze, karafka, parę szklanek, tacka czarno lakierowana, szczypce i t. p. Na około stołu i przy ścianie stały jesionowe wyplatane stołki. Dalej był pokój do przyjęcia, w którym stała kanapa wyginana według owoczesnéj mody, stół okrągły, komoda, kilka fotelów, a przy oknie duży fotel *à la Voltaire* jak dziś używają, z tą różnicą że tamten był stary, wypłowiałą czarną skórą obity i wiekiem sięgał niezawodnie czasów pseudo-filozofa i reformatora, który mu dał swoje nazwisko. Przed tym fotelem stało biórko zrobione w kształcie komody, ale którego mechanika tak dowcipnie obmyślaną była, że za przyciśnieniem sprężyny ukryta wewnątrz klapa spuszczała się i występowało biórko z całym przyrządem do pisania, pióra, papier, kałamarz, lak, pieczątki, świeca, fosfor do wzniecenia ognia w czerwonym słoiku, lichtarz który miał tę własność, że w razie zaśnięcia w czasie wieczornego czytania w łóżku, sam świecę gasił, za pomocą misternie zrobionego przyrządu złożonego z kapiszonika i widełek, które gdy się nastawiało na świecę, przez poruszenie widełek światło gasło. W ówczas nie znano świec stearynowych, ale świece woskowe doskonale i lepiéj chociaż kosztowniéj tamte zastąpiły. Nie znano dziś tyle wygodnych zapałek, mniéj praktyczny fosfor zamknięty w cienkich czerwonych słoikach wchodził dopiero w używanie. Pamiętam że moi rodzice przywieźli z Niemiec kilkadziesiąt takich słoików do Krakowa, gdzie jedynie do zapalania ognia staropolskie krzesiwka znane były. Obok biórka stała szafeczka na książki ze szklannemi drzwiczkami i zielonemi firankami. W sypialnym pokoju najwięcéj widzieć się dała niemiecka czystość i schludność. Szerokie łóżko w głębokiéj alkowie przykryte najczyściejszą pościelą ale tak wysoko usłaną, że poduszki niemal sufitu alkowy sięgały. Firanki z zielonego merynosu krojem starodawnym w kwadrat z ogromną z góry spadającą falbaną, obok umywalnica mahoniowa tak jak wszystkie meble, pokryta białym marmurem, a w niéj miednica, kubek, nalewka i co potrzeba do mycia się i golenia. Daléj mnóstwo sof, sofeczek, szaf, szafek rozmaitego użytku i kalibru, a wszystkie z jakiemiś zrobione kryjówkami, jedynie ku wygodzie i bezpieczeństwu obmyślanemi, bo o zbytku i elegancji, w Wiedniu w roku 1817 myśleć nie można było. We wszystkich pokojach białe jak śnieg perkalowe firanki, takież story, w salonie tylko była jedwabna karmazynowa draperja według gustu i zwyczajów ówczesnych zawieszona. Tamże na kominku był zegar bregietowski paryzki, z wyobrażeniem z bronzu kupidynka strzelającego do Wenery, a obok dwa kandelabry o pięciu świecznikach. Zapomniałam że przy każdych drzwiach była słomianka do obcierania nóg, a na dużym stole w jadalnym pokoju rozpostarta była tak zwana *prawda*, wyrabiana ze słomek w różnych kolorach, bardzo w ówczas używana, mająca służyć dla ochrony obrusów.

Po chwili gdyśmy się rozlokowali, lokaj hotelowy o którym już wspominałam wniósł nakrycie do stołu w którém talerze były wprawdzie porcelanowe, łyżka srebrna, lecz co reszta nakrycia wcale niezbytkowa ale czysta. Położył zwyczajem niemieckim nóż

po prawéj stronie talerza, widelec po lewéj a na wierzchu łyżkę, solniczki, karafki, butelki i szkło z wielką poukładał systematycznością. Jak powszechnie wiadomo jedna francuzka kuchnia jest jako tako w restauracjach znośną. Téj w hotelu pod różą nie było. Trzeba się zatem było kontentować zupą z cukrem, sztuką mięsa z miodem, leguminą z pieprzem, pieczystem z podlewą z czosnku, a kompotem z jajami. Nie było czego czekać, pozostawiwszy prawie cały nietknięty obiad pannie Vetulani, panu Wałeckiemu i Florjanowi stangretowi, przebrawszy się cokolwiek kazaliśmy przywołać fjakra i wyruszyliśmy na miasto. Ówczesne fjakry w Wiedniu miały wielkie podobieństwo z dzisiejszemi tak zwanemi warszawskiemi stankielerkami, tak samo nieznośnie trzęsły, były nieproporcjonalnie długie a wązkie, miały chudą niby w angielskie chomonta uprząż, z tą jednak różnicą że cztery osoby mogły wygodnie w nich siedzieć. Gdyśmy siedli, len-lokaj zatrzasnął drzwiczki i zapytał gdzie pojedziemy i co najprzód życzymy sobie widzieć?.. trudno było odpowiedzieć na takie zapytanie, zwłaszcza będąc w stolicy w której albo się dawno nie było, albo jéj się téż wcale nie znało. Dla mojego ojca Wiedeń nie był obcy, był on tu już i nie raz, ale moja matka, mój brat i ja pierwszy raz znaleźliśmy się w jego murach. Poznawszy od razu że ma z ciekawemi przybyszami do czynienia, nieczekając dłużéj woźnica zawiózł nas ku środkowemu głównemu miastu, aby nam okazać ogólną jego fizjonomję. Przebiegliśmy most na kanale będący, plantacje i ogrody któremi jest samo miasto jakby wieńcem różnobarwnéj zieloności okolone i od przedmieść przecięte, wsunęliśmy się w głąb miasta którego ulice wązkie, domy wysokie, gmachy ciężkiéj i niepokaźnéj architektury, na pierwszy rzut oka niekorzystne na widzu robią wrażenie. Kątów ciemnych pełno, nigdzie ani jednego drzewka, żadnéj zieloności, duszno, smutno, choć ruch na ulicach wielki, dopiero kiedy okrążywszy całą dzielnicę *Burg-Schlosse* (zamek cesarski) wyjechaliśmy na przedmieście *Josephstadt*, zobaczyliśmy się znów ze smakowitym samowolnym, wesołym nowszych europejskich budowli stylem. Tu wszędzie szeroko, otwarto, gmachów pięknych i okazałych mnóstwo, ogrodów i zieloności jakby na wsi. *Stary Wiedeń* jest to starzec wiekiem pochylony, nie lubiący zmieniać form zewnętrznych dawnego stroju, uporczywie przy swoim odwiecznym guście, modzie, przesądach obstający; *przedmieścia*, to dzieci jego, postępujące z czasem, oddalone są od pnia całą przestrzenią dzielącą lekkość, rozmaitość, fantastyczność dzisiejszéj sztuki, od ciężkich, nieużytych, jednostajnych form staro florenckiego stylu. Nie ma podobno miasta gdzieby się tak blizko i tak ściśle schodziły średniowieczność z dzisiejszością, jak Wiedeń w swéj zewnętrznéj postaci. W środkowém mieście, za każdym niemal krokiem spotykasz wielkie dziejowe imiona i wypadki, wszędzie zawadzasz o wiekami nie przeżyty pomnik przeszłości, jakiś średniowieczny duch donośnym wypowiada głosem świetne imiona Karolów wielkich, Rudolfów Habsburgów, Ottonów i tylu innych wielkich owych czasów imion. Miasto (nie większe od miasta Krakowa) opasane murem wysokim na łokci pięćdziesiąt, opodal jest wał z ziemi usypany na tyleż łokci wysoki. Te pomniki przezorności i trwogi od trzech wieków istniejące, nie zdołały ocalić miasta które w wielu razach stało się łupem nieprzyjaciela. Wiedeń leży wśród zielonych pól pięknéj równiny, najeżonéj gdzie niegdzie wzgórzami z których widoki są cudnie piękne i malownicze. Dunaj który go okrąża rozpada się na wiele odnóg kręcących się w rozmaite linje i kształty i tworzących wyspy i wysepki w rodzaju naszéj Saskiéj kępy, co bardzo urozmaica krajobraz i ponętnym go dla oka czyni, ale sama rzeka traci na swéj wspaniałości; w głównym swém korycie nie jest szersza od Wisły pod Warszawą. Dojeżdżając do brzegu, widzi się zdala las berlinek i statków, których jasne proporce tworzą ów punkt główny, gdzie Zachód ze Wschodem podają sobie wzajem, ziem swoich produkta i wyroby, gdzie dostatki i bogactwa pierwszéj ludzi siedziby, staréj matki Azji, a owoce handlu i przemysłu starszéj jéj córy oświeconéj i postępowéj Europy, schodzą się, żeby na oba te świata krańce dobroczynny swój wpływ wywierały. Na tem

zwiedzeniu portu, tę pierwszą przejażdżkę po Wiedniu z powodu zapadłego już zmroku ograniczyć musieliśmy. Powróciliśmy do hotelu; po kilkogodzinnéj przechadzce poprzedzonéj dość złym obiadem, potrzeba posiłku, szczególnie nam dzieciom, silnie się czuć dawała. Moja matka starodawnym polskim zwyczajem, woziła z sobą cały przyrząd kawiany, a nawet podróżny kuchenny. Wydobyto z kieszonek od karety maszynkę do gotowania kawy na spirytusie, puszkę z tym aromatem miałko zmielonym, cukierniczkę srebrną na klucz zamykaną, ale o jednéj głównéj rzeczy nie pomyślano, o śmietance. Porozsełano na wszystkie strony, śmiano się z naszéj pretensji zaopytrywania się w produkta o 9 godzinie wieczór, nie było sposobu, trzeba było kontentować się kawą z poblizkiéj kawiarni przyniesioną. Była to zwyczajna kawa niemiecka bardzo cienka i przezroczysta, do któréj leje się czwartą część śmietanki. Po kawiarniach uczęszczanych przez cudzoziemców, lub blizkich źródeł uzdrawiających, dają na żądanie inną kawę tak zwaną *przewróconą* (verkehrter-kafee) czyli *polską*, dla tego, że się składa z dwóch równych ilości kawy i śmietanki. Niemcy którzy jak wiadomo nie byli nigdy serdecznemi polaków przyjaciołmi, mówiąc o téj kawie nie zaniedbują czasem złośliwie dodawać niby w niewiadomości z kim mają do czynienia, że nasza kawa jak nasze głowy jest jednako *przewrócona*. Możnaby im tu przypomnieć ustęp Ewangielji *o belce i zdźble słomy*, bo komuż więcéj jeżeli nie naszym germańskim sąsiadom przewraca się w głowie, głównie gdy jakaś idea głęboka, filozoficzna, umysł ich owładnie?... U nas przewrot głowy pochodzi prawie zawsze z serdecznych, szlachetnych pobudek, u nich z racjonalnych, samolubnych a często bardzo mylnych obliczeń. U nas w wypadkach stanowczych serce ważniej-



Kara Mustafa wielki wezyr oblegający Wiedeń,
ze staréj ryciny przechowanéj w bibliotece Świdzińskiego rysował Tegazzo.

szą niżby mu przynależało gra rolę, u nich jest zawsze milczące, ale cóż im z tego niby wyrozumowanego uczucia [1]) przyszło......

Kiedym wspomniała o kawie wiedeńskiéj, która otwarcie mówiąc szczególnie pierwszy raz, wcale nam niesmakowała, dodam tu, że lud tutejszy jak w całych Niemczech najwięcéj kawą żyje. Ubożsi robią ją sobie z prażonego jęczmienia lub żyta i takową nazywają *Gerozten-cafe* lub *korn-cafe*. Takiéj kawy po ludowych knajpach sprzedają za sześć krajcarów (naszych 12 groszy) całą wazę dobrze już osłodzoną essencją cukrową czyli fussami (*mélasse*) sprzedającemi się za bezcen. Czasami *korn-cafe* służy za zupę którą lud spożywa z chlebem nadrobionym poprzednio lub tak zwanemi kartoflami w mundurach. Do téj potrawy zasobniejsi rzemieślnicy dodają inną, niemniéj ulubioną przez nich strawę *golash-fleisch* zwaną. Jest to mięso posiekane i w occie gotowane dane na gorąco; w wyższéj miejskiéj klasie szynka tak czerwona jak krew zwykle rozpoczyna lub kończy ucztę. Jest tu mnóstwo podrzędnych traktjerni gdzie sporządzają ulubione ludu potrawy, zowią ich *gast-hause*. Po wypiciu téj kawy, która jak mówiłam wcale nam nie smakowała, mocno znużeni położyliśmy się w łóżko. Nasi ludzie mieli i tu nie mały ambaras z niemieckiemi betami, których z wielką trudnością zdołali się pozbyć wynosząc takowe do szwajcara. Była to, nawiasem mówiąc, kapryśna ale szczeropolska odraza rodziców moich do cudzéj pościeli, szwajcar zrazu zrozumieć jéj niemógł; wylękniony przybiegł na górę zapytać się o przyczynę, w przekonaniu że nie pościel ale jéj gatunek i dobór gościom jego się niepodobają. Potrzeba było ojcu memu użyć całej wymowy na jaką zdobyć się mógł, aby biednemu szwajcarowi wytłomaczyć rzeczywistą téj odrazy przyczynę. Odszedł ruszając ramionami i mrucząc niezrozumiałe słowa pod nosem.

Znużeni podróżą a bardziéj jeszcze przejażdżką po mieście, rzuciliśmy się na nasze posłanie i dospaliśmy jednym ciągiem do późnéj godziny rannéj. Pukanie i kołatanie len-lokaja do drzwi obudziło nas; przynosił on nam doskonałe maślane rogaliki, których jeszcze w naszéj Polsce nie piekli; widok tego nowego dla nas specjału, a bardziéj jeszcze aromatyczny już tą razą swojski zapach kawy, do reszty nas po głębokim całonocnym śnie otrzeźwił.

Posiliwszy się wyszliśmy wszyscy zawsze pod przewodnictwem len-lokaja na miasto i kroki nasze obróciliśmy ku słynnéj katedrze Śgo Szczepana. Jest to niezawodnie punkt od którego podróżni znajomość swoją z wewnętrzną Wiednia fizjonomją rozpoczynają.

Kościół Śgo Szczepana ma wieżę nieco na północ pochyloną, arcydzieło wiekami nieprzeżyte sztuki gotyckiéj, panuje majestatycznie nad miastem i jego gmachami, patrząc jak kilkadziesiąt pokoleń przeszło niepostrzeżenie u stóp jego. Dwa wieki zaledwie wystarczyło na wzniesienie tego gmachu którego założenie sięga 1083 roku.

Dzwon olbrzymi w wieży będący, ulany jest z armat zdobytych na turkach przez dzielnego naszego Sobieskiego. Przechodzi się 753 stopni nim się na jéj szczyt dostanie, a sama droga nie małą jest już pracą. Sowicie ona jest wynagrodzona, gdyż żadne pióro określić nie zdoła widoku, który się ztamtąd oku przedstawia. Wiedeń, jego ogromne i prześliczne przedmieścia, jego zielone ogrody, Prater, zdala bielące się mury letniéj rezydencji cesarskiéj Schönbrünn, prześliczne samego miasta i jego przedmieść kościoły z kopułami i wieżami, te poważne staro-florenckiego stylu gmachy i pałace, rozłożone u stóp bazyliki jak dzieci otaczające starożytną swą macież, wszystko to razem przedstawia się w zachwycającéj panoramie, a na tle obrazu migają się jakby muszki, ludzie, powozy, idący i jadący w różnych kierunkach na przyległym placu.

Sama katedra ma wielkie z kościołem Panny Marji w Krakowie podobieństwo, zbudowana w swéj całości i szczegółach w tymże samym stylu, z tą różnicą że wiedeńska bazylika, jest daleko wspanialszych i obszerniejszych rozmiarów, że więcéj harmonji panuje w rozmaitych jéj częściach jak w krakowskiéj, któréj znawcy sprawie-

[1]) Mieliśmy ich egoistycznéj niepraktyczności niezgorszy dowód, w czasie wypadków w latach 1848 i 1849 i sejmu we Frankfurcie nad Menem. (Przyp. aut.)

dliwie brak planu słusznie zarzucają, mianowicie też w prezbyterjum nieodpowiadającém zbyt wielką długością swoją całości budowy. Jest tradycja że ten sam budowniczy dał myśl na budowę obu kościołów. Inny jeszcze, między temi dwoma gotyckiéj starożytności pomnikami zachodzi stosunek. Oba były niememi świadkami smutnych czasami strasznych, grodów swoich kolei, oba stały nieporuszone kiedy wszystko obok nich wrzało ogniem namiętności, walki, klęsk i pożogi miejsca te nawiedzającéj.

Mury bazyliki pokryte są rzeźbami, malowidłami i mozajkami wysokiéj artystycznéj wartości. Nie będę tu opisywać grobowca słynnego księcia Eugenjusza [1]) o którego waleczności doskonały jéj znawca tak zaszczytne w listach do Marji Kazimiery daje zdanie, ani innych pomników sztuki nowszych czasów, o których czytelnik się dowie z licznych opisów Wiednia i jego okolic. Niemogę wszakże zamilczeć o jednym z nagrobków wielce dla nas interesujących, już dla tego że poświęcony pamięci rodaka, już też że w żadnym opisie Wiednia, nie zdarzyło mi się wzmianki o nim napotkać. Na jednéj z kolumn niedochodząc wielkiego ołtarza po prawéj stronie, jest skromna tablica z czarnego marmuru z napisem łacińskim, świadcząca że tu jest pochowany Maciéj Sołtyk wojewoda łęczycki. Jak się czytelnik łatwo domyśli, ta tablica gładka, nieokaźna, artystycznem wykonaniem nie celująca, najdłużéj nas przy sobie zatrzymała. Doznaje się jakiejś tęsknéj, niewysłowionéj boleści, gdy się spotka mogiłę rodaka w łonie obcéj spoczywającego ziemi; mimowolnie nasuwa się myśl że może rozpacz, tęsknota za swojemi, przedwcześnie wpędziły go do grobu, że zimna, najemna, zapłacona ręka oczy mu zamknęła, że wydał ostatnie tchnienie nie mając téj jedynéj pociechy i nadziei, że się znajduje istota, która westchnie do Boga za jego uchodzącą do innego świata duszę.... Nie było tu zapewne tego przypadku, gdyż wojewoda łęczycki o ile wiemy z tradycji, rad w obczyznie przebywał. Tą razą wszakże nadzieja poratowania zdrowia w te go strony przywiodła. Ale wróćmy do ciągu naszego opowiadania. Wyszedłszy z bazyliki Śgo Szczepana obróciliśmy kroki nasze ku innym, wewnątrz murów samego miasta mieszczącym się kościołom. Wiele one mają z krakowskiemi jakby familijnego podobieństwa i nie dziw gdy sobie przypomnimy że w pierwszych czasach chrześcijaństwa w Polsce, w których wiele krakowskich kościołów początek swój bierze, sztuki były w zupełném zaniedbaniu. Musiano zatém do budowy kościołów sprowadzać budowniczych, a nawet celniejszych rzemieślników z Niemiec.

Jednym z pierwszych kościołów któryśmy zwiedzali, był kościół uniwersytecki; jest on wewnątrz wspaniały i nadzwyczaj bogaty, jako cały mozaikowany i ręką najdoskonalszych artystów malowidłami al fresco i na płótnie przyozdobiony. Groby cesarskie są jak wiadomo w kościele kapucynów; jest to podziemne sklepienie po którém można się wygodnie przechadzać w pośród rzędów trumien po obu stronach poustawianych. Trumny są z miedzi albo bronzu koloru cyny. Już blisko półtrzecia wieku upływa, jak miejsce to jest ostatniém schronieniem książąt Habsburgskiego domu, tu przemieniają pałac na trumnę, purpurę cesarską na śmiertelną koszulę; tu też wstępują z najwyższéj podstawy potęgi i blasku, we wnętrzności ziemi gdzie w lat kilka w garstkę prochu się zamienią. Czu-

[1]) Jak francuzi historji młodzież swą nauczają, dowodzi ustęp następujący z geografji elementarnéj pana Lévi profesora geografji, historji i literatury, członka Instytutu geograficznego, Akademji sztuk i t. d. opowiadanéj dzieciom. Oto ten sławny ustęp: *Au dixseptième siecle en* 1683, *les Turcs mirent le siège devant cette belle ville de Vienne; un prince français le Prince Eugene aidé de Sobieski roi de Pologne*, *leur livra une sanglante bataille, les vainquît et leur prît bien des canons* etc. Szczególnego rodzaju patrjotyzm głównie zasadzający się na wykradaniu obcym narodowościom, ich najdroższéj spuścizny, sławy przodków. Dziwmyż się niemcom, którzy się pokusili o wspólnarodowość Kopernika. Ten oryginalny wykład dziejów przypomina metodę owego nauczyciela księcia Bordeaux ultra rojalistowskiego stronnictwa, który wielką sławę cesarstwa wykładał w tych słowach: *La période du régne de l'illustre Oncle de Votre Altesse Royale, Louis XVIII, est la plus riche en beaux faits d'armes, car c'est celle ou le marquis de Buonaparte a remporté plusieurs grandes victoires sur les ennemis de la France.* — *Si non è vero è ben trovato.*

(Prz. aut.)

ła dobrze tę ostateczność ludzkich kolei Marja Teressa, kiedy w obec popiołów męża swojego i na grobowcu który sobie sama przysposobić kazała, przez lat 30 przeszło Mszy świętéj słuchała. Braciszek klasztorny który nas oprowadzał i okazywał znikome szczątki ziemskich wielkości, opowiadał nam wiele szczegółów z prywatnego życia téj monarchini. Słyszał je z ust dawnego gwardjana stuletniego staruszka doskonale cesarzową pamiętającego. Codziennie koło godziny ósméj rano zajeżdżała dworska bez żadnych ozdób kareta, wysiadała z niéj kobieta w czarném wełnianém ubraniu i długim wiszącym aż po kostki z czarnéj krepy welonie, twarzy bladéj i ściągłéj, rysów pełnych dobroci w których przecie przebijał się, a to głównie w wygięciu ust i w oczach, wyraz nieugiętéj woli, tyle rzadki w książętach domu Habsburgów: zwracałby i on na nią uwagę choćby nigdy jéj skroni blask korony nieokalał. Poważnym lecz pewnym krokiem wsparta na ramieniu szambelana, przebiegała świątynię zatrzymując się tu i owdzie, to przyjmując prośby, to szczodrze rozdając jałmużnę, aż do kaplicy w któréj spoczywały jéj męża zwłoki. W tém tu miejscu miała wykuty w marmurze robotą dość prostą klęcznik który dotąd ciekawym pokazują. Tutaj klęcząc przed Majestatem Boga na popiołach męża, Marja Teressa przez godzinę przestawała być tą królową, która rzadką w kobiecie stałością umysłu, nieprzyjaciół własnych i monarchji zwalczyła i kamień węgielny jéj dzisiejszéj potęgi założyła. Tu tylko była kobietą modlącą się za duszę męża swego wyboru i serca, którego przez lat kilkadziesiąt opłakiwać nieprzestała, tu była matką wypraszającą u Stwórcy wszechrzeczy zdrowie, szczęście i pomyślność dzieci. Wyszliśmy z kościoła kapucynów pełni wspomnień téj wielkiéj monarchini, aby znów za dni kilka te same uczucia zanieść do letniéj rezydencji cesarskiéj Schönbrünn, którą założyła i gdzie przemieszkiwać lubiła, ale nie mieszajmy wypadków i wróćmy do dalszego ciągu opowiadania naszego.

Wyszedłszy z kościoła kapucynów, zwróciliśmy się ku zbrojowni; należy ona do najpiękniejszych, najświetniejszych i najbogatszych w Europie. Wszedłszy w te wielkie niezmiernéj wysokości sale, jakieś uroczyste uczucie uszanowania i ledwie nie bojaźni ogarnia cię, zdaje się że jakby czarodziejską rószczką nagle przemieniłeś żywot i w inne dostałeś się czasy; średniowieczność porywa cię w swe ramiona, urok poważnych scen i postaci tych wielkich czasów przejmuje cię i otacza. Na samym prawie wstępie widzisz wielkich bohaterów przeszłości, we właściwych swych ubiorach, w olbrzymich przedstawiających ci się postaciach. Co to za tęgie miny, jaka szlachetność w całym układzie, jaka duma w spojrzeniu! zda się, że wiek rycerski ze swym duchem wojowniczym, szlachetną acz awanturniczą nieustraszonością, młodą i gorącą wiarą, piersią pełną miłości i poświęcenia dla nieszczęśliwych streszcza się cały w tych pełnych wyrazu postaciach!.... Arsenał wiedeński tyle, dla wszystkich ceniących sztuki i starożytność, zajmujący, dla nas polaków z wielu przyczyn obojętnym być nie może. Kilkadziesiąt lat a raczéj przedziałów przybrane są w najkosztowniejsze wojenne sprzęty, broń artystycznie i mistrzowsko poukładana, tworzy przepyszne kształty, najsławniejsi bohaterowie różnych czasów, a mianowicie monarchowie domu Habsburgów i ich celniejsi wojownicy, misternie i nader zręcznie urobieni z wosku, uzbrojeni od stóp do głowy, stoją na czele oddziału osobliwości wieku do którego należą. Wszystkie sale przepełnione są wojennemi rynsztunkami. Na sufitach których zwyczajne ozdoby i płasko-rzeźby zastępuje misternie poukładana broń, są dwie osobliwości zadziwiającéj piękności. Jedną z nich jest herb państwa, orzeł czarny, rozdarty dwugłowy, oraz różno-kolorowe dodatki i draperje, wszystko złożone z cząstek broni rozebranych oraz z saméj broni, jak pałaszów, szpad, karabinów, sztućców, armat i t. p. Drugą osobliwością jest tenże sam herb odmiennym i również sztucznym ułożony sposobem. Pomiędzy zdobytemi na nieprzyjacielu chorągwiami widzieliśmy trofea r. 1683 na turkach zdobyte. Na ich czele stoi nasz Jan IIIci w postawie rycerskiéj, w ubraniu jakie w ówczas nosił to jest: w hełmie i żelaznéj zbroi, z zawiesistym wąsem, dość podobny do rycin i portretów,

które nam go przedstawiają. Wszakże zdaje mi się że artysta nieuchwycił dobrze energji i waleczności którą postać tego króla zwyczajnie nam przedstawia. W zbrojowni wiedeńskiéj mimo swéj tuszy dość okazałéj, więcéj jest podobny do średniowiecznego rycerza, niż do ukoronowanego polskiego szlachcica, a w téj ostatniéj przecież postawie ukazują nam go dzieje i szczero-polska sztuka. Poczciwy niemiec opowiadał dość dokładnie całą historję oblężenia Wiednia przez turków. Ukazał zagrożone zagładą chrześcijaństwo, wymienił liczbę oblegających, nakoniec ich straszną klęskę i stratę w ludziach, broni, sztandarach, a przedewszystkiém utratę Machometa chorągwi. Mój ojciec ścisnąwszy niemca za rękę i wsunąwszy mu sztukę złota, dał nam znak, że już czas wrócić do domu. Jakoż wyszliśmy ze zbrojowni i udali się wprost do naszego hotelu, nieoglądając tego dnia pokoi cesarskich jak to początkowo mieliśmy zamiar. Z okazji odwiedzenia arsenału, muszę tu uczynić uwagę, którą mi oprowadzający w zbrojowni *Cicerone* nastręczył. Nawykła zawsze w kraju moim widzieć jedynie ludzi z klassy najniższéj, jak naprzykład: lokai, stangretów, kucharzy, posłańców z listami, biorących datki pieniężne tak zwane *na piwo*, nie mogłam wyjść z podziwienia, gdym widziała, odźwiernego w zbrojowni porządnie bardzo ubranego przyjmującego dukata, którego mu mój ojciec w rękę wsunął.

K. D. Lipiec 1863.



Zda się że wiek rycerski streszcza się cały w tych pełnych wyrazu postaciach.

Już prawie tydzień zszedł nam w Wiedniu na oglądaniu kościołów i celniejszych gmachów, pilno nam było do Baden, gdzie rodzice moi udać się mieli dla rozpoczęcia potrzebnéj im kuracji, niemieliśmy przeto chwili do stracenia; nazajutrz po zwiedzeniu arsenału, zwiedziliśmy zamek cesarski, powierzchowność tego gmachu nie jest wcale obiecująca. W czasie który opisuję był to ogromny gmach bez żadnych zewnętrznych ozdób i elegancji, ciężko z ciosowego kamienia zbudowany. Siedm jego pięter od góry do dołu są zamieszkałe niższemi i wyższemi urzędnikami dworu cesarskiego, oraz służbą dworską z ich żonami i dziećmi. Do pokoi pierwszego piętra prowadzą szerokie dość niezgrabne marmurowe schody. Dwanaście frontowych salonów, składa tyleż zbiorów osobliwości pod względem starożytności i sztuki w gobelinach, mozaikach, marmurach, porcelanach, które pod względem wykonania nie mają prawie ceny. Sala balowa przechodzi w przepychu i wykończeniu wszystkie inne. Daléj są pokoje prywatne cesarskie, pokój sypialny, kancelarja, sala konferencyjna. Zeszliśmy na dół do wozowni i stajen cesarskich. Pokazywano nam powozy różnego kształtu i użytku kapiące od złota, kilkanaście nader zgrabnych i sztucznie zrobionych sani, które służyły do zamiejskich przejażdżek monarchom i ich rodzinom w czasie kongresu wiedeńskiego. Były one nader małe, lekkie, do pary lub jednego konia, mające

tylko jedno siedzenie służące dla damy, a u jéj nóg miejsce dla powożącego, którym zawsze był jeden z monarchów. Te przejażdżki odbywały się pewnych dni na szlichtadę przeznaczonych. Zwykle cesarz Aleksander wiózł cesarzowę austrjacką, cesarz austrjacki cesarzową rossyjską, król pruski księżnę Oldenburgską, siostrę cesarza Aleksandra i t. d. inni monarchowie parami odbywali, powożąc się sami, szlichtadę po mieście i za miastem. Jednego poranku po śniadaniu, gdy się wszyscy udali sankami na przechadzkę do Laxenburga, konie kierowane przez króla pruskiego zbiegały się i na bok skręciły, czemu ukoronowany woźnica przeszkodzić nie mógł. Konie w biegu swoim suwały sankami po nieznanéj drożynie i ledwie o pół mili od gościńca król wraz z jadącym za sankami masztalerzem zdołał pęd ich wstrzymać i zwrócić się ku Laxenburgowi, którego bielejące zdala mury okolone drzewami, za jedynego przewodnika służyć im miały. *(D. c. n.)*

POWIEŚCIOPISARKA HISZPAŃSKA.

Nowożytna literatura hiszpańska mało u nas znana, nie wszystkie może przeto czytelniczki Kółka wiedzą że ojczyzna Cerwantesa, szczyci się obecnie pięknym i sympatycznym talentem kobiecym. Niezbyt dawno jeszcze odcinki dzienników tamecznych, zapełnione bywały tłomaczeniami francuzkich romansów, które miały wynagradzać zupełny brak oryginalnych tego rodzaju utworów. Czytająca publiczność wielce zatém zdziwioną została, gdy pewną razą dziennik *Heraldo* rozpoczął druk obyczajowéj rodziméj powieści pod tytułem *Gaviota*, odznaczającéj się zarówno wdziękiem stylu jak zajmującą treścią. Daremnie starano się poznać nazwisko autora ukrytego pod pseudonimem *Fernan Caballero*, otaczała go ściśle zachowana tajemnica, gdyż nawet sami redaktorzy Heralda, nie wiedzieli komu zawdzięczają utwór który wzbudził tak żywe zajęcie. Późniéj nieco gdy już zaprzestano mówić o Gaviocie, Fernan Caballero wydał znów kilka powieści jako to: *Elia*, *Rodzina Alvareda*, *Jedna i druga*, *Biedna Diolores i Lucas Garcia*. Wielbiciele jego póra rozpoczęli znów szperać do koła i odkryli wreście, że nieznanym autorem jest kobieta, obdarowana wrodzoną zdolnością i szlachetném uczuciem. Zapragnęli wtedy wywieść ją na widownię świata z samotnego ustronia w którém przebywała, lecz ona ani słuchać nie chciała o tém. Pisząc z prawdziwego natchnienia nie myślała nawet aby obrazy zdjęte z otaczającéj ją natury miały jaką artystyczną wartość, zadowolniona zaś błogiém przeświadczeniem, że pragnęła wzbudzić w czytelnikach zamiłowanie wszystkiego co dobre i piękne, nie żądała pochwał obojętnego tłumu. Błagała tak usilnie nowych przyjaciół aby ją pozostawili w ukryciu, że radzi nieradzi musieli spełnić to żądanie. Dzienniki hiszpańskie szanując życzenie skromnéj autorki niepodały jéj życiorysu, francuzkie nie były tyle dyskretne. Dowiadujemy się z nich, że Fernan Caballero (dona Cecilia de Arom) należy do warstwy społeczeństwa wyższéj zarówno wykształceniem, jak stanowiskiem zajmowaném w świecie. W pismach jéj przebija wielka znajomość miejscowości. Hiszpanja jest pierwszym i jedynym przedmiotem jéj natchnienia, kocha całém sercem zwyczaje, obyczaje i nawyknienia swego biednego ludu, kocha jego nędzę nawet w któréj zawsze pewną wielkość dostrzega. To téż osoby które stwarza nie są to jakieś blade zmyślone postacie, lecz oddychają i żyją całą pełnią życia. Ale najlepiéj podobno zaznajomimy czytelników naszych z rodzajem pisania hiszpańskiéj autorki, przytaczając w skróceniu jednę zjéj powiastek. Zdaje nam się że opowiadanie andaluzyjskie pod tytułem: *Więcéj honoru niż honorów* uwydatnia bardzo dobrze ten talent pełen wdzięku i prostoty zarazem. Rzecz rozpoczyna się pogrzebem wiejskiego dziecięcia.

„Nieco opodal od gościńca wiodącego z Kadyksu do Meridy, kilku ludzi wolnym krokiem schodziło z wyniosłego wzgó-

rza wązką i kamienistą ścieżką. Okrywały ich wielkie płaszcze spadające w prostych szerokich fałdach jak na żałobny strój przystało, poprzedzeni zaś byli mułem, który miał uwiązaną na grzbiecie białą trumienkę kwiatami uwieńczoną. Milczenie smutnego orszaku przerywał szmer strumyka spuszczającego się wraz z nim w dolinę, jak gdyby dla towarzyszenia zmarłemu bratu w ostatniéj jego pielgrzymce. Wietrzyk przeciągał zwolna, niby zasmucony końcem życia, które podobnie jak on jedném tylko było tchnieniem, słowik odzywał się smutnym śpiewem, niby łkaniem swego harmonijnego serca, a ciężki i miarowy krok muła zdawał się być uderzeniem zegaru znaczącego godziny życia. Za przybyciem do wiejskiego cmentarza wykopano grób i złożono weń białą trumienkę z uśpionym biednym aniołkiem, którego przybycie do nieba zwiastowały w téjże chwili dzwony sąsiedniego kościoła. Gdy pierwsza garść ziemi upadła na wieko trumny z głuchym łoskotem, żałośny jęk wydarł się z piersi nieszczęśliwego ojca który grzebał już ostatnie z trojga swych dziatek. Po ukończonym obrzędzie żałobny orszak powrócił do wioski Higuera gdzie zamieszkiwali rodzice umarłego dziecięcia Juan i Stefanja. Zastawiono skromną ucztę składającą się z mięsa, jarzyn, oliwek i smażonego ciasta z miodem, biedna matka ani tknęła jéj, rozpaczając ciągle nad swą stratą. „O biedne dziecię moje,” mówiła z płaczem, „było tak piękne jak ten kwiat świeżo rozkwity! Ach wy niewiecie ojcze Sebastjanie,“ dodała zwracając się ku staremu przewodnikowi mułów, „wy niepojmujecie ile cierpi drzewo odarte z kwiatu, bo macie już zdrowego i pięknego wnuka w wieku mego syna!”

„Anioł stróż uniósł twój kochany kwiatek, do rajskiego ogrodu w którym go słońce nie spali ani mróz nie zziębi. Gdyby ci się był również przysłużył jak byłaś dziecięciem, niewylewałabyś dzisiaj tych łez gorzkich!

„Ach prawdę, wielką prawdę wyrzekliście ojcze!“

„A więc czemu się smucisz? czemu rozpaczasz? nie poznaję cię dzisiaj, wszak odznaczałaś się zawsze cierpliwością i poddaniem woli Bożéj?“

„Niestety! gdybym niebyła dawała tych ziółek memu małemu, żyłby dotąd! ziołka go zabiły!“

„A małoż to dzieci bez ziółek umiera? Zawsze musimy wyszukiwać nienaturalnych przyczyn śmierci. Słyszałem że w dniach stworzenia śmierć niechciała przyjąć przeznaczonego sobie urzędu i podała prośbę do Boga aby ją innym obdarzył.— A to czemu zapytał Wszechmocny? —Bo nie chcę dźwigać ciężaru przekleństw i nienawiści ludzkiéj. — Uspokój się, odpowiedział jéj Pan, zapewniam cię że nikt do ciebie nie będzie mieć żalu. I tak jest w istocie, jedną razą mówią że potrawa jakaś zabiła chorego, drugą, rzecz całą składają na doktora, dość że śmierć bywa zwykle uniewinnioną, tak że przypuściéby można, że wtedy tylko nawiedza ludzi gdy ją sami zapraszają.“

Stary Sebastjan który był najlepszym przyjacielem zasmuconych rodziców, opowiedział im późniéj, że chodził do bogatego pana właściciela dzierżawionych przez nich gruntów, w nadziei że przedstawiwszy mu obok świeżego nieszczęścia straty majątkowe jakie niedawno ponieśli, zmusi skąpca do pofolgowania raty dzierżawnéj.

„I cóż odpowiedział na wasze przedstawienia? zapytała Marja Józefina młoda wieśniaczka krewna Stefanji. — Nic, odwrócił się tylko niechętnie i odszedł na stronę, czém mię tak rozgniewał że wołałem za nim głośno: Don Józefie, gdyby wasza ekscellencja była słońcem nie oświecałaby nikogo! Odwrócił się wtedy żywo i zawołał gniewnie: a więc masz mię za skąpca? — Uchowaj Boże, zdaje mi się tylko, że nim być możecie, niepowinno was to obrażać, jeżeli znacie stare portugalskie przysłowie: *łatwo wziąść za wilka tego co się przyobleka w wilczą skórę*.“

Ojciec Sebastjan rozpowiadał daléj jak dumny i skąpy dziedzic dorobiwszy się niezbyt dawno majątku, według zwyczaju przyjętego w górach, siedlisku swéj rodziny, przybrał tytuł *Don* i z téj przyczyny przezwano go żartobliwie w okolicy *don Józefem I*, na wzór króla narzuconego przez francuzów. Według staréj legendy

wszyscy górale mieli się za szlachtę, z przyczyny że pewien król hiszpański który zwiedzał ich siedliska, gdy padli przed nim na twarz przy powitaniu, rozśmieszony tym hołdem zawołał: *levantos galgos* co znaczyło: wstańcie psy legawe, oni zaś w swéj pysze uroili sobie że powiedział *levantos hidalgos* (powstań szlachto) i ztąd do dziś dnia każden z nich mniema, że się urodził szlachcicem.

„I dla tego to Józef Ilgi więcéj ma pychy od infanta hiszpańskiego,“ zawołała gniewnie Marja Józefina, „udaje coś osobliwego, a niezgrabniejszy aniżeli stos ciężkich fajansowych skorup z Triana, cierpki jest jak zielony orzech, a tyle nikczemny że odmówiłby nieszczęśliwemu powietrza i światła dwóch rzeczy które darmo dawać musi psu swemu.“

„Cicho bądź,“ odparł obecny tamże mąż młodéj kobiety, „strzeż lepiéj twego języka bo tak szybko biega że może mu się przytrafić nieszczęście.“

„A tobie co do tego? patrzcie go milczy zawsze jak ryba, a teraz się odzywa żeby mi prawić morały, tego mi jeszcze brakło! Więc chciałbyś abym się nieodzywała? Wiedz że nic z tego niebędzie, ani ty ani nawet gwiazda poranna zmusić mię do milczenia nie potrafi!“

„Hieronimie,“ rzekł do połajanego męża Sebastjan, „jeżeli mężczyzna ma rozum, to słowa niewieście wchodzą mu jedném uchem a wylatują drugiém.“

„Niewylatują,“ odparł powoli Hieronim, „bo wylecić nie może to co nie weszło.“

„Marjo Józefino,“ mówił jeszcze starzec chcąc załagodzić całą sprawę, „jeżeli chcesz żyć zgodnie z mężem pamiętaj na piosnkę która każe smarować osie od wozu, powiadając że łagodnie postępować należy z martwemi nawet przedmiotami.“

„Wiem o tém, wiem,“ odparła półgłosem, „że, jak wasz patron, najeżeni jesteście strzałami.“

„Marja Józefina ma coś na sercu przeciw don Józefowi,“ pomyślał sobie wesoły staruszek. Ojciec Sebastjan nie mylił się w swém domniemaniu, rzeczywiście Marja Józefina gniewała się na Józefa Igo jak to zobaczymy z późniejszego opowiadania.“

W następującym rozdziale dowiadujemy się że Marja Józefina miała sobie powierzone przed rokiem od don Józefa dziecię nieznanych rodziców, od którego obiecano jéj kwartalną zapłatę. W pierwszych początkach odbierała ją wiernie, lecz po upływie półrocza don Józef zapowiedział że może co chce zrobić z dziecięciem, gdyż on dłużéj za nie płacić nie myśli. Biedna kobieta przywiązawszy się do małego wychowańca nie miała serca go odepchnąć, z drugiéj strony znów widziała niepodobieństwo hodowania obcego dzięcięcia przy ubóstwie i dość licznéj własnéj rodzinie. Walczyła długo ze smutnemi myślami niewiedząc co począć, gdy właśnie pod ten czas umarło dziecię Stefanji. Szybko jak błyskawica przebiegła ją myśl że strapiona matka może przyjąć pod dach swój opuszczoną sierotę. Zanim jeszcze uczta pogrzebowa skończoną została, wszczęła rzecz całą w obec zgromadzonych gości, znalazła jednakże silny opór w tychże, odradzali bowiem Stefanji tego rodzaju czynu miłosierdzia, mówiąc że przy obecném ubóstwie, ściągnie na swą głowę wielkie kłopoty, oprócz innych przykrości których doznać może, przyjmując w dom swój dziecię nieznane. Przypominali także że już oboje z mężem pielęgnują troskliwie pewnego starego żebraka, niepodobna więc aby przyjmowali jeszcze jeden ciężar więcéj. Marja Józefina zważywszy że nie wiele wskóra wymową w obec tylu zdań przeciwnych, przyniosła swego wychowańca i w milczeniu złożyła go na kolanach Stefanji. Młoda kobieta wzięła z płaczem dziecię przypominające jéj utracone własne skarby miłości, spojrzała na męża, a gdy ten odwrócił głowę zrozumiała że nie chciał wpływać na jéj postanowienie, lecz przeciwnym mu niebył, natychmiast więc w myśli przybrała za syna sierotę.

„Tobie czuć się daje brak matki, ja zaś nié mam dziecięcia, któremu oddaćbym mogła miłość przepełniającą me serce, potrzeba ci miłości którąby dzień i noc czuwała nad twą kolebką, przyjdź więc do mnie biedny opuszczony! Stefanja nie wymówiła tych słów głośno a jednakże jéj łzy i wzruszenie, tkliwość z jaką przyciskała do piersi niemowlę, wypowiadały lepiéj tę myśl

poczciwą aniżeli to mogą uczynić nasze martwe słowa. Ojciec Mateusz, stary żebrak, z litości w dom przyjęty przez Juana i Stefanję, wsparty na miotle przyglądał się żywemu wizerunkowi miłości i miłosierdzia który miał przed oczyma, po chwili wymówił półgłosem: Bądź błogosłowiona Stefanjo, Bóg cię nagrodzi, albowiem *ktokolwiek dobrze czyni pracuje dla własnej korzyści.*“

Ojciec Mateusz był kiedyś walecznym żołnierzem, lecz przyprawiony o nieuleczone kalectwo na wojnie z francuzami, a do tego zmuszony wychowywać maleńkiego syna którego matka odumarła, żył jedynie z litości bliźnich i znany był w całéj okolicy pod nazwą *ojca Jałmużny*. Dopóki zdrowie jako tako służyło, włóczył się wraz z dziecięciem po dworach i dworkach, gdy jednakże mały podrosłszy, zakrwawił mu serce ucieczką w świat daleki, a sił niestarczyło do dłuższej pieszéj wędrówki, byłby niechybnie umarł z głodu gdyby nie litość Juana i Stefanji. Biedny Mateusz pomimo zdziecinniałego już nieco umysłu, wypłacał się swym dobroczyńcom serdeczną miłością, a chociaż Bóg ich ciężko nawiedzał, niepowątpiewał nigdy że w końcu otrzymają zasłużoną nagrodę.

We cztery lata po śmierci ostatniego swego dziecięcia, Stefanja siedząc przed progiem chaty usypiała na rękach maleńką córeczkę, Gabrjel zaś syn jéj przybrany, tuż obok wyczekiwał niecierpliwie ukończenia świstawki, którą mu sporządzał ojciec Mateusz. Gdy dostał upragnioną zabawkę przybiegł do matki i zaczął świstać głośno.

„Ciszéj ciszéj,“ mówiła Stefanja, „bo śpi siostrzyczka.“ Dziecię zbudzone w téj chwili uśmiechnęło się mile spojrzawszy na brata.

„Jak słodko spał ten kochany anioł Boży,“ rzekła matka sadzając je na kolanach.

Dziewczynka zarzuciła wtedy ręce na szyję Gabrjela który ją uścisnął serdecznie.

„Jak oni się kochają!“ rzekł ojciec Mateusz spoglądając na dzieci, „przysiądzby można że są rodzeństwem!“

„Albož tak nie jest w istocie?“ rzekła z wewnętrznem przeświadczeniem o prawdzie słów swych Stefanja.

Podczas téj rozmowy nadszedł ojciec Sebastjan stary przewodnik mułów, z zapytaniem czy don Józef zawstydzony szlachetną bezinteresownością ubogiego rolnika i jego żony, niedokładał obecnie do kosztów wychowania dziecięcia którém się niegdyś zajmował? Otrzymawszy przeczącą odpowiedź, rozpoczął rozpowiadać swym zwyczajem różne świeżo zaszłe wypadki, w których nieużyty skąpiec niezbyt korzystną odgrywał rolę. „Pomiędzy innemi przytoczył jako kilka dni temu don Józef, wezwany został do łoża umierającego pokrzywdzonego przezeń szwagra, wraz z rejentem który mu dopomagał w interesach. Gdy zapytali chorego po co ich sprowadził? ten odpowiedział że uczuł nagle chęć pobożną żeby umrzéć na wzór Chrystusa pomiędzy dwoma łotrami.” Ojciec Sebastjan jak widzimy jest uosobieniem żywości, dowcipu i wesołości hiszpańskiego ludu niektórych prowincji, ma on zawsze gotową odpowiedź na czynione sobie zapytania, lub też stósowną do przytoczenia przypowieść w każdém wydarzeniu. Juan mąż Stefanji wyobraża w dalszym rozwoju powieści, szlachetną dumę i poczciwość andaluzijskiego wieśniaka, ale wróćmy do naszego opowiadania:

„Dni i lata ubiegały szybko mieszkańcom Higuera, Gabrjel wyrosł na pięknego młodzieńca, wyraz jego oblicza wskazywał pogodę i moc duszy, spokój, stałość a zarazem godność pełną dobroci która mu zjednała wkrótce poczciwe serca, trzymając w oddali złość i szyderstwo. Podobne usposobienie wstrzymało przykre żarty nad tajemnicą pokrywającą kolebkę młodzieńca, któremi z początku dokuczać mu zaczęli towarzysze dzieciństwa, z zaciętością zdolną przekonać że okrucieństwo wrodzoném być może naturze ludzkiéj. Jakkolwiek żarty te krótko trwały, dotknęły jednakże boleśnie wzniosłą i szlachetną duszę Gabrjela, któréj wszystkie władze rozwinęły się pod wpływem wyobrażeń niezłomnych praw honoru, właściwych hiszpańskiemu ludowi. Wychowany przez Juana jednego z tych zacnych ludzi którzy praw podobnych obejść nieumieją, pojmował je Gabrjel w całéj rozciągłości ich znaczenia. To też ilekroć wspomniał na opuszczenie własnych rodziców, tyle razy posępny cień smutku przyoblekał jego oblicze. Skutkiem zapewne tych rozmyślań, całe obejście młodzieńca nacechowane zostało jakiemś piętnem poważnéj rozwagi.

Tkliwe jego serce zrozumiało wdzięczność winną przybranéj rodzinie. Uszanowanie jakiém przejęty był dla Juana równało się tylko uczuciu miłości dla Stefanji. Pierwszemu chętnie byłby wzniósł ołtarz, drugą zaś pragnął umieścić w relikwiarzu na sercu. Jedno tylko uczucie w głębi duszy przeważało może siłę tego przywiązania, a tém była miłość dla Anny, pięknéj córki Stefanji, która kochała również Gabrjela z całym zapałem młodocianéj duszy."

Juan i Stefanja kochali bardzo przybranego syna, aby go uwolnić od służby wojskowéj poświęcili nawet część swego majątku, nieodgadywali jednakże miłości dwojga młodych i biedna matka bardzo się zafrasowała gdy pewną razą Marja Józefina otworzyła jéj oczy, zaręczając przytém że Juan nigdy niezezwoli aby córka jego poślubiła dziecię nieznanego rodu. Niezadługo potém ojciec Sebastjan prosił o rękę Anny dla wnuka swego Andrzeja, a gdy odmowną otrzymał odpowiedź, rozgniewał się bardzo i wręcz oświadczył matce i córce, że zna przyczynę dla któréj pogardzają związkiem tak dobranym, lecz życzeń ich nigdy skutek nieuwieńczy. Anna zalała się łzami gdy usłyszała po raz pierwszy złowrogą przepowiednię, że ojciec nie zezwoli na jéj małżeństwo z Gabrjelem. Wzruszony boleścią dziewczęcia starzec, wyrzekł się swych nadziei dla wnuka i sam obiecał prosić ojca za młodemi ludźmi. Jak to jednakże odgadła Marja Józefina, daremne były wszelkie przedstawienia w téj mierze. Juan kochał Gabrjela jak syna, oceniał jego dobre przymioty lecz mimo to wszystko chciał aby imię które nosić miała jego córka, wolne było od najlżejszéj skazy, a jak wiemy głęboka tajemnica pokrywała urodzenie młodzieńca. Gabrjel w rozpaczy usłyszawszy nieodwołalny wyrok, pobiegł do don Józefa sądząc że tenże wykryje mu nazwisko rodziców, lecz daremne były jego prośby; pyszny skąpiec zaręczył że nic nie wié i jedynie z miłosierdzia płacił czas jakiś za biednego podrzutka. Zasmucony młodzieniec powziął wtedy zamiar opuścić na zawsze Higuera, gdzie niemógł żyć dłużéj spokojnie i szczęśliwie, skoro nieprzewidziany wypadek zmienił nagle całą postać rzeczy.

Pewnego dnia gdy zasmucona rodzina zgromadziła się na wieczerzę, don Józef Ilgi wszedł pośpiesznie z oznajmieniem, że sądząc, jako ojciec który mu niegdyś powierzył dziecię obecnie już nieżyje, niechciał nadaremnie rozdzierać serca młodzieńca odkrywając mu tajemnicę urodzenia, teraz zaś dowiedziawszy się że tenże ojciec, nietylko że ma świetną pozycję w świecie, lecz nadto pragnie ją dzielić z synem, ma sobie za obowiązek uwiadomić o tém Gabrjela. Opowiedział potém że gdy Gabrjel stracił matkę w dzieciństwie, ojciec jego zmuszony był uciekać z kraju dla politycznych wypadków, a będąc z nim w przyjacielskich stosunkach powierzył mu syna. Nie dodał jeszcze don Józef że na pierwsze potrzeby dziecięcia miał sobie zostawione pieniądze, gdy zaś tych zabrakło wyrzekł się uciążliwéj opieki, lecz przytomni odgadli sami rzecz całą. Po pierwszych chwilach radości i podziwu, smutek rozpostarł się znów w chatce wieśniaczéj, nadszedł bowiem czas w którym Gabrjel pośpieszyć musiał do nieznanego sobie ojca. Anna płakała przeczuwając że go nie ujrzy więcéj; rodzice trapili się jéj boleścią nieumiejąc wynaleźć na nią lekarstwa, pewni byli bowiem że możny pan niedozwoli synowi zaślubić ubogiéj wieśniaczki. W chwili rozstania, oboje młodzi zamienili z sobą obietnicę wiecznéj pamięci, poczém Gabrjel pożegnawszy przybranych rodziców udał się drogą wiodącą do Madrytu. Juan odprowadził go po za wioskę. „Synu mój," mówił mu idąc obok niego, „niemogłem zbogacić twego umysłu nauką kwitnącą tylko w wielkich miastach, lecz przekazałem ci w zamian wyobrażenia chrześcijańskie, które sam od ojca mego wziąłem w puściznie; wystarczą one aby żywot twój uzacnić. Udoskonalenie moralne jest najpierwszém zadaniem naszego życia, ci którzy go posiędą stąpają wśród tłumu z podniesioną głową i niepotrzebują spuszczać kapelusza na oczy. Nie wierz moje dziecię jeżeli usłyszysz że prawdy Boże zestarzały się i zużyły. Prawda nic nie traci na przedawnieniu, zarówno jak kłamstwo niezyskuje na nowości. Bóg jest zawsze jeden i ten sam. Krócéj mówiąc, miéj za niezmienne prawidło postępowania, połączenie korzyści z uczciwością,

albowiem korzyść nieprawa jest tylko udziałem nikczemnych. Człowiek potrzebuje przedewszystkiém niepokalanego sumienia, aby go zachować w czystości, rozmyślać powinien często nad starém przysłowiem: nié ma nic pewniejszego nad śmierć, a jednakże o niczém więcéj niezapominamy żyjąc na świecie. Oto cała nauka jaką ci zostawić mogę w puściznie Gabrjelu, niezapominaj jéj nigdy bo jakkolwiek jest prostą, w czyn wprowadzona większą ma potęgę, aniżeli wszystkie teorje uczonych doktorów; wszakże ci ostatni potępili *Sprawiedliwego* podczas gdy ubodzy pastuszkowie śpiewali jego chwałę. Bóg utwierdził swój kościół nie na jednéj z tych studni mądrości, lecz na ubogim rybaku żałującym za grzechy, nie rozum jego, ale raczéj łzy i poświęcenie zniewoliły Pana.”

Gabrjel przyrzekł spełniać święcie rady Juana, potém zaś prosił go o rękę Anny. Szlachetny wieśniak, sądząc że młodzieniec poznawszy świat pożałować może swego postanowienia, niechciał przyjąć jego ofiary.

„Zostawmy przyszłość Bogu,” mówił żegnając wychowańca, „czas wszystko najlepiéj wykaże, czy zaś powrócisz czy téż zapomnisz o nas, pamiętaj że błogosławieństwo przybranych rodziców spoczywać nad tobą będzie.”

Przybywszy do Madrytu, mimo przepychu którym tam został otoczony, zaraz na wstępie zatęsknił Gabrjel do ubogiéj wioski która osłaniała jego dzieciństwo. Nie mógł przywiązać się do nieznanego ojca z którym niełączyła go żadna nić sympatyczna. Jenerał Labrador był jednym z tych szczęśliwych ulubieńców losu, którzy nawykli cenić nad wszystko nabyte przypadkowo bogactwa i zaszczyty. Gdy syn na wstępie oświadczył mu chęć powrotu na wieś do zatrudnień wśród których wzrastał, rozśmiał się tylko pogardliwie i odrzekł mu, że gdy oświeci swój umysł i pozna świat ani myśleć o tém niezechce. Gabrjel niezmienny w swych przekonaniach zamilkł i zabrał się gorliwie do nauki aby daremnie nietracić czasu przez ciąg pobytu u ojca, miał bowiem stałe przedsięwzięcie choć późniéj nieco wykonać pierwszy swój zamiar. Tym czasem oddany całkiem kształceniu umysłu odsunął się od ludzi i przez to był jeszcze więcéj obojętnym ojcu. Trzy lata w ten sposób przeminęły, jenerał oświadczył wreście synowi że niepozwoli mu na dłuższą samotność. Gabrjel odpowiedział wtedy łagodnie lecz z mocą, że wyobrażenia jego nieuległy zmianie mimo nauki którą umysł zbogacił. Jenerał nieposiadał się z gniewu:

„Na cóż więc” zawołał porywczo, „na cóż przydały ci się wszystkie mądrości ksiąg nad którémi zatapiałeś się tak głęboko?”

„Na bardzo wiele” odparł spokojnie Gabrjel, „utwierdziły bowiem przekonanie moje, że podstawą i źródłem szczęścia na ziemi, jest czysta dusza i prostota życia. Wszystko czego się uczyłem wskazało mi jeszcze, że więcéj jest prawdziwéj wielkości w spełnieniu najprostszego obowiązku, aniżeli w systematach niektórych filozofów którzy pragną poniżyć naturę ludzką.”

Tu jenerał począł wyszydzać syna, a gdy tenże wspomniał o długu wdzięczności jaki zaciągnął względem zacnych ludzi trudniących się jego wychowaniem, a wreście o córce ich którą pragnął pojąć za żonę, nazwał to wszystko marzeniem dziecięcém nie mającém nic wspólnego z wielkiém słowem *obowiązek*. „Panie,” rzekł wtedy młodzieniec, „skoro chcesz, powiem ci co rozumiem przez te słowa, ja wychowaniec ludu żyjącego pomiędzy niebem a ziemią naszą kwitnącą, tego ludu, który za kierownika ma wiejskiego plebana a za całą naukę prawo Boże bez innego tłomaczenia filozoficznego, jak to proste chrześcijańskie orzeczenie: żyć dla pracy, umierać dla spoczynku.

„Dość, dość téj anielskiéj muzyki,” zawołał drwiąco jenerał.

„Prawdę wyrzekłeś o znaczeniu słów które wymówiłem panie, dodam tylko jeszcze że lud hiszpański postępuje według ustaw honoru których nigdy nie przekroczę.“

„Jakież są te ustawy?” mówił z gorzkiém szyderstwem zagniewany ojciec.

„Ustawy te,” rzekł Gabrjel poważnie, „zowią niewdzięcznika *źle urodzonym*.”

Jenerał ruszył ramionami.

„Ustawy te nakazują aby człowiek który niedotrzymuje swych zobowiązań piętnowany był słowem *nikczemny*,” Jenerał chciał coś odpowiedzieć lecz Gabrjel ciągnął da-

léj tymże samym tonem: „A wreście ta księga honoru i sumienia karząc tych którzy opuszczają rodziców, opiekunów swego dzieciństwa, dozwala aby stali się przedmiotem ogólnéj pogardy.” Tu jenerał zbladł jak gdyby te słowa do niego zastósowane być miały, lecz patrząc w pogodną twarz młodzieńca, uspokoił się i rozpoczął go znów namawiać, aby porzucił poetyczne mrzonki i przychylił się do jego żądania zaślubiając córkę don Józefa, który oprócz bogatego wiana, zapewni zięciowi wybór na deputowanego swéj prowincji. Gabrjel odrzucił świetne widoki i zakończył rozmowę temi słowy: „Ponieważ przekonania moje wydały wam się zapewne wyobrażeniami prostego wieśniaka, na poparcie ich przytoczę jeszcze dewizę pewnéj szlachetnéj francuzkiéj rodziny [1]) którą, jakkolwiek dalekim jestem od pychy, przyjąłem jednakże za prawidło postępowania w życiu. Dewiza ta mieści się w słowach: *więcéj honoru niż honorów* (plus d'honneur que d'honneurs). Sprawi ona że spełnię mą powinność równie wiernie, jak stale odrzucam ofiary wasze.”

„Idź precz z mych oczów, niech cię nie oglądam już więcéj!“ zawołał gniewnie jenerał.

Wkrótce potém Gabrjel spieniężywszy niektóre podarki ojca opuszczał Madryt przybrany w odzież wieśniaczą.

„Wolny już więc jestem“ zawołał wyszedłszy po za miasto, „wolny jak Bóg przykazał aby człowiek wolny był od pychy i złych namiętności! wolny jak obłoki ścigające się po nad mą głową! jak ptaszki polne! jak czyste serce wzniesione do Nieba!“

W cichéj wiosce tymczasem Anna tęskniła za narzeczonym. „Powróciż on do nas kiedy?“ pytała ojca Mateusza podzielającego jéj strapienie. A Mateusz który sobie przypominał wtedy ukochaną żonę umarłą i kochanego również syna który go porzucił, odpowiadał wstrząsając siwą głową:

„Niestety moje dziecię, ci którzy umierają nie mogą zmartwychwstać – ci co nas porzucili nie mogą powrócić!“ i w miejscu cichych łez posłannic tęsknoty, gorzki płacz boleści oblewał twarz dziewczęcia.

Na domiar strapienia Juan powrócił pewną razą od don Józefa z wieścią że Gabrjel zaślubia wkrótce córkę jego. „Stefanjo,“ rzekł z uczuciem, „powiedz sobie że mamy jednego syna więcéj na wiejskim cmentarzu. „Anno dziecię moje, miłość twa nieprzyniosła ci szczęścia, zapomniéj jéj!“

„Jakto“ zawołała żywo Stefanja w któréj sercu ozwało się uczucie kobiety i matki, „alboż zapomnienie sprzedaje się aby je nabyć tak łatwo można?“

„Tak jest,“ odparł mąż poważnie, „Bóg je rozdaje, nabywcą jest silna wola, a monetą modlitwa.“

Podczas téj rozmowy ojciec Mateusz który wyglądał ciągle na gościniec, oznajmia przybycie Gabrjela. Zmienia się postać rzeczy, radość zajmuje miejsce bolesnego zwątpienia. Niezadługo zjawia się don Józef, a rozgniewany tém że Gabrjel odrzuca rękę jego córki, wyjawia tajemnicę że jenerał Labrador jest owym synem Mateusza który porzucił ojca. Odkrycie to zamiast upokorzyć Gabrjela napełnia jego serce błogiém uczuciem, że będzie mógł zgładzić winę ojca otaczając starca swém przywiązaniem. Wszyscy się radują, Anna tylko zagniewana na ojca Mateusza za smutne słowa jego proroctwa: ci którzy nas opuszczają powrócić nie mogą.

„Dawniéj“ odpowiada jéj ucieszony starzec, „przepowiednie moje były szczęśliwsze.“

„Kiedy ojcze?“ pyta go Gabrjel.

„Skoro błogosławiąc Stefanję w chwili gdy cię za syna przyjęła, wyrzekłem: *Ktokolwiek dobrze czyni pracuje dla własnéj korzyści.*“

Temi słowy kończy się powiastka; jak widzimy nié ma w niéj żadnych wielkich dramatycznych efektów, cała osnowa prosta i niezawikłana, a główne zalety stanowią drobiazgowe opisy i rozmowy pełne niewymuszonego dowcipu i wdzięku. Wszystkie obrazki dony Cecylji osnute na tle miejscowych wydarzeń i legend ojczystych, odwzorywujące wiernie postacie hiszpańskiego ludu, tracić zapewne muszą w przekładzie, lecz zato u współziomków autorki najżywsze wzbudzają zajęcie, rozchodzą się też w licznych wydaniach i każden cokolwiek więcéj ukształcony hiszpan, wspominając o narodowéj swéj powieściopisarce powiada z pewnym rodzajem dumy: *nasz* Fernan Caballero.

A. z Ch. Borkowska.

[1]) Domu Grignan.

WYCIECZKA DO SIEWIERZA.

Już trzy lata upływa jak będąc w Olkuskiém, zapragnęłam zwiedzić stary Siewierz, stojący jakby na przedniéj straży krakowskiéj ziemi tak niegdyś srodze niepokojonéj od Szląska i łączący we wspomnieniach swoich sławę starożytnego rodu Piastów, oraz dawną potęgę w kraju biskupów senatorów, co ztąd wyniesioną mitrą książęcą swe ozdobili skronie. Historja, jakkolwiek się zdaje być jedynie rozumowém poznaniem logicznego następstwa faktów, nie mniéj przecie ma głęboki odźwięk w uczuciu człowieka. „Kto jéj nie zna, to jakby ojca i matki nie znał” powiedział słusznie Skarga, ztąd też pochodzi że do zwalisk napiętnowanych pleśnią wieków, podąża z ciekawością i uszanowaniem nietylko uczony archeolog, spodziewający się znaleźć na zczerniałym kamieniu jakiś napis zapomniany, ale i każdy prostaczek w którego piersi raźno uderza serce z miłością do tych chwil minionych, gdzie świeci dalszego życia ludzkości skazówka. Zdawałoby się że większa lub mniejsza znajomość ubiegłych wypadków, słowem że nauka jedyną tu pochodnią. Nieprawda! — potrzeba jeszcze duszy człowieczéj odczuć w miłości porywie, wszystkie nici tajemnicze łączące ją z tą *ojcem i matką* przeszłością, dla niejakiego w niéj jasnowidztwa. Rzecz inna uwidomić to dla drugich, przelać na papier w wiekopomném dziele; ten wielki dar Ducha Śgo spływa na niewielu wybranych, lecz każdemu wolno usiłować zrozumieć życie ludzkości, boleć jéj bólem, jéj pragnieniami naprzód się wyrywać. Otóż dla tego wszyscy biegniemy czytać na zczerniałych murach kościołów i zamczysk fantastyczną narodów kronikę.

Droga wypadała mi na Olkusz, którego dotąd nie zwiedziłam, mimo to, a może dla tego właśnie że go miałam o milę, zwykle się bowiem zdarza, a u nas częściéj niż u drugich, że najmniéj znamy to, co mamy pod ręką. Jechaliśmy ślicznym rankiem lipcowym po piaszczystéj dość niepowabnéj drodze, kiedy za laskiem spuścić się przyszło w wąwóz wcale płytki, lecz bardziéj jeszcze piaszczysty. Powiedziano mi że to koryto rzeki Baby, która pokazuje wody swoje tylko co siedm lat na kilka godzin; przybyłe nie wiedzieć zkąd, uchodzą nie wiedzieć gdzie pieniąc się i szumiąc. Jadący ze mną szwagier ponieważ mieszkał w Olkuskiém dopiero od roku, nie widział tego zjawiska, lecz woźnica nasz, włościanin miejscowy wierzył w nie święcie chociaż bez wątpienia także nie widział. Opowiadał nam nawet bardzo malowniczo, jak raz konny posłaniec przejechał na brzeg drugi kiedy łożysko było suche; wraca aż tu widzi przed sobą potok szalony, nie wierzy własnym oczom, gwałtem konia w wodę popycha i o mało co nie zostaje uniesiony jéj prądem.

Wysłuchawszy jeszcze kilku relacji tego rodzaju, zaczęliśmy wnioskować czy rzeczywiście może tu wzbierać woda w czasie wielkich deszczów lub roztopów, oraz przytaczać znane twierdzenia o zalaniu kopalń Olkuskich, co usłyszawszy nasz woźnica zawyrokował, że to Śty Jan Kanty który był dawniéj proboszczem w Olkuszu, zgniewany na miasto że mu w niém małą cześć wyrządzają opuścił je i kopalnie zatopił. Zwróciłam jego uwagę że gdyby był taki mściwy, pewnoby nie został uznany za świętego i że on owszem największą odznaczał się pokorą, unikał wszelkich oznak czci, a nie żeby miał się dopominać o nią. Nie zmieszało to bynajmniéj mojego opowiadacza, cmoknąwszy na konie żeby się puściły raźniejszym kłusem, a sam zwracając się do mnie, rzekł:

— A to Rokita kiedy chciał przenieść Farę na Parcze, górę za miastem, a mieszczanie mu nie dali, to ze złości zatopił im kopalnie srebra i oni też podupadli ze szczętem.

— Któż to Rokita? pytam, mimo że nazwa obcą mi nie była.

— Czart.

Naturalnie że nie miałam tak słusznych powodów bronienia czarta jak świętego i rozmowa nasza upadła, tém bardziéj że deszcz polał rzęsiście jedną z tych letnich

ulew co to moczą literalnie do nitki. Odkryta bryczka niewielkiego użyczała schronienia, parasole przemiękły, a błoto pokrywało już ulice miasta gdyśmy do niego przybyli. Mój szwagier miał interesa w biórze, a ja udałam się do kościoła chcąc go zwiedzić, lecz już był zamkniętym. Zatem według zwyczaju mego udałam się do proboszcza, licząc na pouczającą o dziejach miejsca tego gawędkę. Proboszcz przyjmował widać gości czy rodzinę, bo kilka głosów męzkich i kobiecych doleciało do mych uszu z przyległych pokoi, zanim wyszedł do mnie sam gospodarz pytając czego żądam, mierząc od razu surowemi oczyma, tak że tém indagacyjném spojrzeniem wskróś przejęta, nie wiedząc jak się najkrócéj i najjaśniéj wyrazić, zaczęłam:

— Jestem podróżna....

Nie dano mi dokończyć.

— A! moja pani to trudno — to mnie tu ciągle takie nachodzą — a zkądby już brać przyszło — czegóż pani podróżujesz — po cóż się pani o mnie pytasz — ja doprawdy nie jestem w możności — czegóż pani chcesz odemnie i t. d. i t. d.

Zrazu pomieszana niezwykłém przyjęciem, gdym zaczęła się wsłuchiwać w ten potok wyrazów, przypatrywać najkomiczniejszéj trwodze, co przerażona własném widmem nie dopuściła wysłuchać mego objaśnienia, porwał mnie śmiech pusty, niepowściągniony. — Mój Boże! zawołałam, cóż to za wyborna lekcja dla mojéj miłości własnéj, więc wyglądam na żebraczkę! i spojrzałam w naprzeciw będące lustro, które mnie upewniło, że jakkolwiek miałam gruby szal nieco zmokły, mój kapelusz ocalony przez parasol wcale przyzwoicie wyglądał. Może na wiarę słówkom złośliwych mężczyzn co to posądzają kobiety miłujące naukę o niedbalstwo w ubiorze, czytelniczki gotowe sobie pomyśleć żem się łudziła co do mojéj powierzchowności? otóż ceniąc sobie ich sąd czuję potrzebę wypowiedzieć tutaj, że się nie stroję nigdy, ale zawsze staram się być porządnie ubraną. Widać jednak że proboszcz inaczéj zrozumieć nie mógł ciekawości podróżnéj, jak zmierzającéj prosto do naruszenia jego dochodów. Zaczęłam mu więc tłomaczyć znowu, zwolna i dobitnie, że jako niezamieszkała w okolicy nie znam kościoła, a wiedząc o jego starożytności, o jego pamiątkach, radabym go widzieć. Zapytałam przytem czy są papiery jakie, biblioteka i t. p. A cóż panią to obchodzi, odpowiedziano mi dość zuchwale, na co pani papierów, erekcji kościoła, czyż to pani piszesz do druku, czy co?

— Popełniam to czasami, odparłam z chytrą pokorą.

Poczułam przebiegające badawcze spojrzenie po całéj méj osobie, proszono mnie siedzieć, a zwolna przy rozmowie przyszło do tego że mi ofiarowano śniadanie. Ale wtedy zrozumiałam jasno, że rozłamanie z drugiemi chleba jest niejako braterstwa węzłem. Tutaj, jakkolwiek sądzę że pozostałam bez urazy, jednak zdawało mi się że z rąk tak niechętnych, nawet dręczona głodem, nicbym przyjąć nie mogła. Poszłam tedy obejrzeć kościół. Pokazano mi w murze otaczającym, drzwi jeszcze z czasów bł: Jana Kantego, któremi przechodził ten mąż miłosierdzia pełen, co znaczne dochody probostwa za własność biednych uważał. Nie będę się tu rozgadywać o kościele, który tyle razy już opisywali podróżni zwykle tamtędy jadący do Ojcowa. Wspomnę tylko że zwiedzanie skarbcu, w którym przechowany ów sławny krzyż 40tofuntowy ze srebra Olkuskiego, miałam odłożone na drugi raz. Wtedy już przyjechałam ubrana z całą kobiecą pretensją, ale do owych papierów czy resztek biblioteki przechowanych gdzieś na strychu nie dopuszczono mnie, przedstawiając zawzięcie, że idąc tam suknię powalam. Znów więc byłam za nadto ubraną.

Jakkolwiek jest to jedyny przypadek tego rodzaju który mnie spotkał wśród częstych moich po kraju pielgrzymek, jednak trudno obwiniać o to jedynie podejrzliwość proboszcza; jest to raczéj nawyknienie opinji szanowania kobiety wtedy tylko, kiedy występuje jako *dama*, wsparta na ręku upatentowanego protektora, lub z wyglądającym z po za jéj pleców lokajem. Lecz nie trzeba nam się tém przerażać i nie pozbawiajmy się rzetelnych korzyści dla formy często zbyt krępującéj, bo od samych kobiet zależy dać w sobie uszanować godność człowieka.

Droga do Siewierza prowadziła nas na Sławków który już tylko swoją Farą, gdzie piękny grobowiec biskupa Sołtyka, przypomina dawniejsze znaczenie swoje. Dziś jest to podupadła mieścina, mimo że na górach kruszconośnych osiadła; ma tuż obok walcownię cynku, który tu zwożą już wytopiony z Dąbrowy. Przemysł ubogacił okolicznych mieszkańców bardzo źle pod względem urodzajności ziemi uposażonych. Zarabiają znacznie przewożąc do huty galman i ciągle się z furami wypełnianemi ową rudą nieocenioną należycie przez ojców naszych, spotykać trzeba, na tym trakcie którym zwykle ze *splendorem a dworem* przejeżdżali z Krakowa biskupi do ulubionego sobie Siewierza. Wkrótce opuściliśmy szose i skręcając nieco na północ, wzięli kierunek równoległy do tego łańcucha zębatych wzgórzów wapienia juraskiego, które od Częstochowy przez Olsztyn, Mirów, Bobolice, Ogrodzieniec, Smoleń, Ojców, znaczą fantastyczny gościniec nastrzępiony skalistemi basztami, aż pod mury starego Krakowa. Pełne uroku podania przebiegają po tych falistych linjach niekiedy śmiało ku obłokom sięgających, a dwa punkta przeciwne, które one łączą, rwą ku sobie myśl i serce wędrowca najcudniejszemi wspomnieniami, które zapisała historja i poezja. To też oderwać oczu nie mogliśmy od prawéj strony drogi naszéj, aż przy zachodzącém słońcu wjechaliśmy w powabny lasek pełen malin, potem zwrócił się gościniec na lewo przez wioski, których chaty otaczały ogródki z czerwieniącemi się czereśniami, w około roztoczyła się obszerna, dość urodzajna płaszczyzna i szary, posępny jak grobowiec, na tle jasnych błękitów widnokręgu ukazał się zamek Siewierski. Jakiż to szereg imion dostojników kościoła co to miejsce polubili, co tu przebywali pamięć nam przywodzi!.... Zamek stawiał czy raczéj przebudował Piotr Tomicki. Był tu bowiem już gmach tego rodzaju jeszcze za Piastów i ziemia cała od tegoż zamku Siewierz, nazwę otrzymała. Dał ją wraz z Bytomiem i Oświecimem Kazimierz Sprawiedliwy chrzestnemu swemu także Kazimierzowi synowi Mieczysława księcia na Raciborzu. Kronikarz Bogufał powiada, że to się stało w w zapędzie wesołości przy uczcie po obrzędzie chrztu nastąpionéj. Późniéj jeden z książąt Cieszyńskich Wacław, urodzony z Ofki czyli Eufemji córki Mazowieckiego Ziemowita, dostał w dziele ks: Siewierskie i będąc bezdzietny a potrzebując pieniędzy, umyślił je sprzedać. Wtedy to za namową Długosza Zbigniew Oleśnicki wszedł z nim w ugodę o to księstwo, składające się na on czas z sześćdziesięciu wsi i dwóch miast: Siewierza i Czeladzi. Już przed tém posiadali biskupi krakowscy, kilka wsi w obrębie Siewierskiego księstwa, co do przestrzeni, ani co do przychodów nie mogło się ono równać z niejednym tak zwanym kluczem czyli powiatem biskupstwa, nie było więc jego nabycie tak dalece pożądaném, ale (jak twierdzi Długosz) miał Oleśnicki na celu rozszerzenie granic swéj ojczyzny, bo to księstwo wróciło napowrót od czeskich lenników, a infuła biskupia ozdobiła się mitrą udzielnego księstwa. Lecz nie mało miał Zbigniew z tego kłopotu; raz zrobiona ugoda zerwała się, aż powtórnie stanęło że biskup wypłaci sześć tysięcy grzywien szerokich groszy czeskich dobrych, liczby polskiéj, licząc po 48 gr. na każdą grzywnę, co na dzisiejszą monetę wynosi około 256,000 złp. Lecz odstąpienie Siewierza bolało książąt Szląskich. Mikołaj Raciborski najechał sam księstwo i zająwszy je dla siebie, rok trzymał mimo wysyłanych wojsk pod dowództwem Piotra Szafrańca podkomorzego krakowskiego. Późniéj ten sam Szafraniec podmówił innego księcia, Przemysława. Jednak zwyciężyły go nadworne roty Zbigniewa z obywatelstwem Siewierskiém połączone.

Oleśnicki tytułowany był panem ziemi Siewierskiéj, dopiero piąty z kolei po nim biskup Jan Rzeszowski, użył tytułu księcia, a Piotr Tomicki używał go już wszędzie, chcąc położyć zaporę wznowionym roszczeniom książąt Cieszyńskich, których Zygmunt I wyrokiem 1518 wydanym odsunął od wszelkich do Siewierskiego księstwa pretensji jako niesłusznych. Władysław IV wyraził się w uniwersale do wojska: „udzielne jest, od wszelkich podatków wolne i żadnym ciężarom niepodlegające Siewierskie księstwo," (według przytoczenia w Star: Polsce L. i B.) Tu zupełnie udzielnie i niepodlegle władali biskupi krakowscy. Mieli

prawo miecza, przepisywali prawa, sądzili bez odwołania, mianowali urzędników, nadawali przywileje szlachectwa [1]) bili nawet pieniądze lubo nie ciągle boby to było bez korzyści, ale czasami.

Tak uprzytomniwszy sobie potęgę biskupów, spojrzyjmy na ich wspaniałą siedzibę opustoszałą, niby pomnik uwidomiający marność wielkości ziemskich, a uroczyste wzruszenie przejmie naszą duszę. Gdzie ci dostojni i potężni książęta, gdzie tego księstwa udzielność, gdzie dostatki i znaczenie miasta tego?... Zdaje się że tchnienie tęsknoty i żałoby przeciągnęło nawet po nad tą drobną rzeczką [2]) co się wije na pół wyschła u stóp jego domostw. W środku jest ratusz z wieżą na obszernym rynku i kościół murowany wspaniale i ulic kilka dość porządnych, ale wszystko to jakieś spłowiałe, grobowo ciche, jakby przyczajone przed niszczącym wszystko zębem czasu i tym sposobem tylko ocalałe.

Następny dzień cały spędziliśmy w Siewierzu, zaczęłam więc od obejrzenia kościoła. Gmach to piękny, jak mówiłam, znać na nim rozliczne przebudowania, zapewne każdy z biskupów coś w nim ulepszył lub ozdobił, ale w papierach probostwa nié ma żadnych dowodów kiedy był wzniesiony lub przebudowany. Wojny szwedzkie i późniejsze niepokoje rozproszyły wiele dokumentów tego rodzaju i miejscowy proboszcz zostaje w zupełnéj niewiadomości co do historji swego kościoła. Kilkanaście lat temu podczas burzy, wiatr zerwał z wieży banię, z któréj widziano wypadające zwitki papieru. Burza je uniosła na błota za zamek, więc wkrótce po jéj ustaniu wzięto się skwapliwie do poszukiwania. Ale napróżno — wiatr i deszcz zniszczyły nieubłaganie dla potomnych, świadectwa ofiary ojców, na chwałę Bożą, ofiary może w dumie poczętéj. Są ślady w Długoszu i Miechowicie, że Piotr Dunin ze Skrzynna stawiał kościół parafialny Śgo Jana w starym Siewierzu, ale kościół ten mały, mający rzeczywiście barwę wielkiéj starożytności, pozostał nietylko po za obrębem dzisiejszego, nowszego miasta, ale nawet w pewnéj od niego odległości. Otacza go cmentarz i żałobne w nim nabożeństwa czasem się odbywają. Jest jeszcze kościołek Śgo Walentego przy którym szpital, a proboszcz tamtejszy bywał zarazem ojcem duchownym istniejącego bractwa miłosierdzia. W ratuszu pokazano mi kopje w tłomaczeniu polskiém, przywilejów nadawanych różnemi czasy przez biskupów krakowskich miastu Siewierzowi (oryginały tychże mają być złożone w Kielcach). Pierwszy jest z roku 1523 od biskupa Konarskiego, następny od Tomickiego, kilka innych od Padniewskiego, z których jeden brzmi jak następuje: „Filip Padniewski z Bożéj Łaski biskup krakowski, książe Siewierski, wszystkim i każdemu z osobna komu o tém wiedzieć należy oznajmujemy listem naszym. Gdy to jest naszém staraniem i myślą, abyśmy miasta biskupstwa naszego, wolnościami i prerogatywami, któreby do ich użytku dążyły, przyozdobili, a najszczytniejszą łaską naszą, miasto nasze Siewierz w pomnożeniu jego wygód ukochać (complectendum) przedsięwzieliśmy i dla tego niżéj wyrażone wolności i prerogatywy dla pomnożenia rzeczy gospodarskich mieszczan tegoż miasta, wiecznie dać i pozwolić przedsięwzieliśmy i t. d. i t. d" Daléj następują nadania uczynione przez biskupa Franciszka Krasińskiego, Piotra Myszkowskiego z Mirowa, Marcina Szyszkowskiego i innych. Pojąć zatem łatwo, że miasto zostając pod tak przemożną i nieustającą opieką, było w stanie kwitnącym i daleko obszerniejsze niż je dziś widzimy. Stojące jeszcze w ratuszu skrzynki, a służące niegdyś do przechowywania godeł cechowych świadczą, jak liczne musiały być tutaj stowarzyszenia rzemieślnicze. Przechowują tam także z wielką starannością. jako dawnego znaczenia pamiątki, dwa pieniądze złoty i srebrny. Napis na złotym: *Moneta aurea ducatus Severiae* 1762. Na srebrnym: *Grossus argentes ducatus Severiae* 1761. Na przeciwnéj zaś stronie tak jednego jak i drugiego: *Cai: Sołtyk Ep: Crac: Dux Severiae* Te pieniądze, szczególniéj dukat musi być z liczby tych które Michał Sołtyk dziekan katedry krakowskiéj, na pamiątkę że jego krewny

[1]) Z téj szlachty zachowującéj przywileje, które nawet Heroldja uznała, mieszka jeszcze wiele rodzin w okolicy, jakoto: Słodkowscy, Grabiańscy, Kowalscy, Kolińscy i t. d.

[2]) Czarna Przemsza.

biskup, miał prawo bicia monety, kazał bić pod stemplem Kajetana i które rozdał jako pamiątkę, lecz te nigdy w obiegu nie były.

Mimo że miasto ma za herb orła, który w jednéj nodze trzyma wagę, a w drugiéj rószczkę oliwną, godła sprawiedliwości



Zwaliska zamku w Siewierzu.

Oglądałam także medal poświęcony pamięci wspomnionego biskupa Sołtyka ze stósownym napisem.

i pokoju, jednak ciągle drażniono się i nawet obchodzono niemiłosiernie z żydami, co nie jest ani sprawiedliwém, ani też po-

koju nie daje. Nie tylko że im nie dozwolono mieszkać w mieście, ale im nawet omijać je kazano; nieraz gdy przechodząc wstąpili, przepędzano ich zaraz rózgami. Andrzéj Stanisław Kostka Załuski, biskup kr. tak się o żydach wyraża w swoim edykcie przeciw nim wydanym w roku 1747: „który to naród z natury złośliwy i chrześcijanom przeciwny, także we wszelkich handlach i nabyciu fortuny katolików zwykł zdradzać i przeszkadzać im, więc my pragnąc tego aby w księstwie naszém Siewierskiém jak najlepszy porządek i szczęście zostawało, stosując się do dawnych praw i zwyczajów i t. d. i t. d.

Pan Homulicki burmistrz Siewierza wielki miłośnik rzeczy krajowych, zaznajomił mnie łaskawie ze wszystkiém co dawną świetność miasta przypominało. Drugim moim przewodnikiem po Siewierzu był ksiądz wikary, u którego znalazłam wyborową biblioteczkę z dawnych kronikarzy i innych dzieł szacownych, szczególniéj nasze dzieje obchodzących. Świat elegancki zwykle z lekceważeniem wspomina towarzystwo małych miasteczek, a jednak ileż to tam ludzi oświeconych i zacnych w cichym zakątku, na niskich szczeblach hierarchji społecznéj, stróżuje wiernie przy ołtarzu ojczystych pamiątek. Nie pochodzą oni wprawdzie z tych rodzin, gdzie najpierw przyzwyczajają młode pokolenie szczebiotać po francuzku i angielsku, ale są synami tych błogosławionych matek, które zaraz po pacierzu uczą swe dzieci powtarzać pieśni naszego Ursyna.

Księstwo Siewierskie r. 1791 przez konstytucją w księgach grodu warszawskiego oblatowaną, z województwem krakowskiém złączone zostało, roku zaś 1792 za burmistrza Wilczyńskiego, Stanisław August listem dyplomatycznym potwierdził przywileje dane miastu od biskupów krakowskich. W zamku, ostatnim mieszkańcem który go utrzymywał na książęcéj stopie, był Kajetan Sołtyk, lecz za czasów Pruskich roku 1808 była tu już fabryka sukna; kilkanaście lat temu miał jeszcze dach, lecz już stał pustkami. Pewien mieszkaniec chodząc często koło jego murów, przyglądał się im, pukał, aż nareście wynalazł w jednéj ścianie pieniądze. Widziano go jak mieniał dukaty, jak pożyczał różne sumki na procent, ale mu to szczęścia nie dało. Posmutniał, poskąpiał, latem i zimą chodził w kożuchu i umarł nie doczekawszy starości, a pieniądze jego nie wiedzieć gdzie się podziały. Taką historję opowiadają o zamku dzisiejsi mieszkańcy Siewierza, bo któreż zwaliska nie mają swoich podań o skarbach i złych duchach wyrządzających psoty ludziom, którzy się do tych skarbów dobiorą lub dobrać pragną. Staw oddziela od miasta zamek stojący dziś już na gruncie gminy rządowéj Sulików. (Kowal Wyderek grunt ten wydzierżawił i po trochu wywozi zeń gruzy przydatne do nowych budowli). Niewielkie wzgórze podmurowane w około, wznosi go po nad łączkę zieloną. Z jednéj strony chata i kępa drzew, a daléj zrzadka rozrzucone samotnie topolki dopełniają krajobrazu budzącego nieopisanie rzewne i tęskne uczucie. Oto stoi przed naszemi oczyma gmach wspaniały, posępny, z wyszczerbioną wieżą z chwiejącemi się mury, niby widmo przeszłości zburzonéj, a gdzież wyjście z tego świata cieniów, smutku i pognębienia?.... Tak dumałam stojąc na złomie muru wjezdnéj bramy, przy schyłku dnia, który zszedł mi cały na poznawaniu się z Siewierzem. Teraz pożegnawszy uprzejmych moich przewodników, pozostałam sama wśród ciszy ruin, zdając sobie sprawę z zebranych wiadomości i doznanych wrażeń. Zewnątrz można obejść cały zamek dokoła; jest to całość, jak widzimy z rysunku, wcale jeszcze imponująca, ale czworoboczny wewnętrzny dziedziniec zupełnie zawalony rumowiskami, jedna ściana już nie porysowana lecz, można powiedzieć, poszarpana przez wichry i burze, nieuchronnym upadkiem grozi. Wieża trzyma się jeszcze prosto i cało, tylko brak dachu na kopule dozwolił gołębiom się w niéj rozgospodarować. Nie wiem czy kiedy kto zagląda do tego gołębnika, bo zdaje mi się być niedostępnym dla ludzi szanujących swe życie. Mogą więc nowi mieszkańcy zamku spoglądać ze swéj wysokości dumnie na okolicę, tak jak niegdyś ci, co tu podpisywali akta monarchicznego prawie znaczenia: *dan w naszym zamku książęcym Siewierskim.* Trudno wypowiedzieć jak fantastyczne mary wywoływał

przedemną szelest skrzydeł ptaków, zabierających się na swych wyżynach do nocnego spoczynku. Wyobraźnia podniecona uczuciem tysiączne pytania zadawała rozumowi nieżądna bynajmniéj odpowiedzi i lubując się we własnych złudach swoich. Czy solidarność wiążąca pokolenia odczutą jest zarówno przez tych co minęli, jak tych co żyją obecnie.... jak pojmować i wytłomaczyć sobie w dziedzinie ducha, ten nierozerwany łańcuch jednoczący pokolenia, tak widomie w przyczynach i następstwach faktów dziejowych wytknięty?... Gdy tak zapatrzona w przeszłość całkiem w niéj myślą i uczuciem utonęłam, oczy moje padły na śliczny obrazek ukazujący się w oddalonéj perspektywie, niby oprawny w poszczerbioną arkadę rumowisk. Ostatni promyk niknącego już słońca oświecał w dolinie na łące zbierających siano wieśniaków — a kiedym odwróciła oczy od tego obrazu pełnego życia, światła, barw i woni i poniosła je na będące po drugiéj stronie zamku puste błonia, to mi zaraz stanęły na myśli będące tam za dawnych czasów szubienice, gdzie sądem doraźnym, złapanych z innych okolic złoczyńców, wieszano bez długich indagacji. Spuściłam wzrok zasmucona, aż oto przed memi stopami, niby przepaść zniszczenia, która mnie samą pochłonąć miała, ukazał mi się czarny, przerażający otwór prowadzący do izby sklepionéj na dole, którą mi przed godziną pokazywano, jako miejsce w którém ścinano skazanych. I przeszedł mnie dreszcz strachu, cięższe od kamienia zwątpienie legło w piersi mojéj, jakby nań spadły wszystkie ojców grzechy. Pośpieszyłam wyjść trwożąc się na dosłyszany szmer własnych kroków, zmrok wśród murów zapadał szybko, jednak po za ich obrębem blask dzienny jeszcze przyświecał, a piosnka wracających do domu robotników brzmiała weselnie i dobitnie, jak dźwięk nieustającego życia. Orzeźwiona, obejrzałam się jeszcze po za siebie, wstydząc się dopiero co doznanego wrażenia nieufności i trwogi, które mi się wydało jakby zupełne zaparcie się przeszłości, jakby pocisk pogardy w jéj prześwietne rzucony oblicze. Westchnienie modlitwy wyrwało się z głębi piersi moich, a wktótce zawtórował mi uroczystym jękiem dzwon wzywający na „Anioł Pański” i po rosie, wśród ciszy wieczornéj rozpłynął się poważném echem w przestrzeń nieobliczonéj odległości. Stanęły mi w pamięci słowa Zygmunta: „Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jéj szczytów pragniecie, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych co przeminęły, jak z tych co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest.“

Na drugi dzień równo ze wschodem słońca opuściłam Siewierz, dowiedziawszy się jeszcze że istnieją dotąd w okolicy piece żelazne, przez biskupa Szaniawskiego zaprowadzone. Wyrabiają tu garnki i inne żelazne naczynia, lecz mimo to, nie są osiągnięte wszystkie korzyści, jakich miejscowość tak obfitująca w żelazo dostarczyćby mogła.

J. Śmigielska.

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Gdy wszystko było gotowe do méj podróży opuściłem Gabon w końcu września, wsiadłem w jedną z tych olbrzymich łodzi zbudowanych przez Mpongwów; ułożywszy wpierw w niéj rzeczy i broń wraz z amunicją, popłynęliśmy w stronę Mbaty gdzie położone były plantacje starego mego przyjaciela króla. Romposzomby, czyli raczéj Djonizego jak go zwali francuzi. O czwartéj z południa wypłynęliśmy na zatokę Mbata robiąc z całéj siły wiosłami, bo w miarę zbliżania się do lądu rośliny morskie utrudniały żeglugę. Około północy przybiliśmy pomiędzy jakieś zarośla; wyszedłszy ztamtąd byliśmy już wpośród plantacji królewskich. Przeniesiono natychmiast moje rzeczy do domu pierwszéj żony króla. Lubo już było tak późno mieszkańcy jeszcze nie spali. Afrykanie podobni są w tém do wyższéj warstwy społeczeństwa miast

naszych, że z dnia lubią noc robić i tak zamiast się spać położyć, do późnéj godziny przysłuchują się wyciągnięci przed ogniem opowiadaniom drugich, cały zaś dzień następny drzemią niezdatni do pracy. Niezdziwiłem się zatém nic, gdy zastałem księżnę Akerai palącą fajkę na długim cybuchu w towarzystwie czterech swoich kobiet. Powitała mię słowami nader przyjaznemi i za chwilę cały dom był na nogach. Księżna kazała swym niewolnikom sporządzić mi na wieczerzą ryby i banany czemu bardzo rad byłem niejadłszy prawie dzień cały. Zapalono ogień na podłodze w pośrodku domu który zajmować miałem i kilka żon królewskich zgromadziło się do koła. Przysłuchiwałem się niedbale ich rozmowie, gdy nagle zaciekawiło mię wymowione imię znakomitego francuza księcia Joinville. Na uczynione wtedy zapytanie odpowiedziano mi że w roku 1842 książe zwiedzał wieś Romposzomby i pozostawił miłe wspomnienie u jéj mieszkańców. Królowa sama przyrządziła mi łóżko które składało się z maty nie zbyt twardéj, dodała do niéj zasłonę od zjadliwych komarów uważaną już jako przedmiot zbytku. Pod jéj cieniem kilka godzin przynajmniéj mogłem przespać spokojnie. Murzyni są zazwyczaj ludzcy i gościnni ale zarazem bardzo biedni i bardzo nieporządni. Niewiedzą o tém jednakże i lubo w nędzy, życie ubiega im wesoło. Śmierć albo innego rodzaju wielka niedola, może ich poruszyć jedynie. Smutek jakiego wtedy doznają jest wielki, graniczy prawie z rozpaczą. Poddani króla Romposzomby należą do najzamożniejszych Mpongwów; plantacje w których się znajdowałem, jedne z najwięcéj kwitnących na wybrzeżu, do nich należały. Wioska położona przy zatoce Mbaty otoczona jest cała bujnemi łąkami, mieszkańcy jéj posiadają znaczną liczbę niewolników, kobiety zdają się być zamiłowane w rolnictwie, może z téj przyczyny że daléj nieco na przylądku Pongara ziemia piaszczysta i nieurodzajna, niewydaje żadnych zbiorów. Otaczające mię plantacje zapełnione były do koła zbożem, trzciną cukrową, bananami, imbierem, maniokiem etc. etc. Około chat rosły dziko ananasy ocienione cytrynowemi i pomarańczowemi drzewami. Pracowite i spokojne życie mieszkańców dało mi o nich lepsze wyobrażenie nad te które miałem o innych murzynach. Zdaje mi się że obok zatrudnień rolniczych zajmowali się również chowem zwierząt domowych. Król zamieszkiwał w swojéj wsi na wybrzeżu, polecił jednakże aby mię odwieziono do przylądka Lopez, gdyż Sangatanga główne jego miasto położone jest o 60 mil od Mbata. Sam monarcha nie wiele się zajmuje uprawą swych plantacji, zwiedza je tylko podczas lata. W ogóle zdaje mi się że władza jego spoczywa w rękach pierwszéj żony, ona bowiem wydaje rozkazy co do prac rolniczych; w razie potrzeby sama wykonaćby je potrafiła niezawodnie, bo jak to już mówiłem wyżéj, kobiety zajmują się głównie uprawą roli. Mężczyzni mają nieustanną pracę z wycinaniem i paleniem drzew, które się tam rozrastają z niesłychaną szybkością, jeżeli tylko ciągle niezapobiegać temu. Ponieważ przybyłem w zamiarze przepędzenia kilku miesięcy na przylądku Lopez, miałem z sobą znaczne przybory podróżne, które trzeba było teraz lądem przewozić do Sangatanga albowiem w Mbata kończyła się wodna komunikacja z tamtemi strony. Ażeby przenieść trzy ciężkie pełne różnych rzeczy tłomoki, kilkaset funtów prochu, szrótu i tytuniu, a wreście zapasy żywności, wełniane okrycia namiotów i naczynia kuchenne, które woziłem, (niechcąc używać garków krajowych, przypuściwszy że w nich znajdowały się nieraz różne obrzydliwe przedmioty) zażądałem od królowéj na dzień następny trzydziestu ludzi, obiecując wynagrodzić każdego z nich pewną ilością bawełny, tytuniu i szklannych paciorek. Przystała na to bez wahania, lecz przygotowania podróży zajęły jeszcze dni kilka. Wyruszyliśmy w końcu; z początku droga nasza ciągnęła się przez kwitnącą pięknie uprawną dolinę. Na południe Gabonu krajobraz zmienił się nagle, grunta również zdawały się odmienne, do koła rozrzucone były chaty bambusowe zamieszkałe przez niewolników, oddalonych od swych panów z wybrzeża. Uprawiają oni ziemię na swą własną korzyść, oddając z niéj tylko pewien czynsz corocznie właścicielom. Zdają się być bardzo zadowoleni swym losem i rzeczywiście używają zupeł-

néj wolności. Przed progiem chat kobiety i starcy rozciągnięci leniwie na słońcu, palili tytuń spoglądając na wesołą okolicę pokrytą płodami bujnej ziemi. Około południa zbliżyliśmy się po nad brzeg morski, słychać już było fale uderzające o piasek. Nagle niebo pokryło się chmurami i powstała gwałtowna burza, pioruny uderzały bez przestanku a deszcz lał strumieniami, schroniliśmy się do chaty w któréj stary murzyn wraz z żoną przyjął nas jak najlepiéj. W godzinę wypogodziło się zupełnie, podobne uragany często przypadają w lecie, niekiedy są tak silne że niszczą plantacje i drzewa wyrywają z ziemi. W pół godziny doszliśmy na brzeg morski wzdłuż którego mieliśmy ciągle iść daléj; trzeba było zapadać w piasek po kostki, co utrudniło niezmiernie całą przeprawę. Bardzo byłem zmęczony gdy nadeszła godzina nocnego spoczynku, ludzie moi przyzwyczajeni do podobnych podróży, nie byli tyle strudzeni, mimo że nieśli ciężary. Prawda że sama podróż nie była przyjemną, lecz za to mieliśmy cudowne widoki przed oczyma. Z jednéj strony morze piętrzyło się śnieżnemi bałwany, z drugiéj pochylały się ku niemu nieprzejrzane szmaragdowego koloru lasy. Od czasu do czasu przechodziliśmy pod ciemném sklepieniem wyciętém w gęstwinie zielonéj; uroczysta cisza przerywana tam była rykiem oceanu, kiedy niekiedy tylko słyszeć się dawał samotny głos czympansa, jedynego mieszkańca téj pustyni. Nad samym zachodem słońca przybyliśmy do osady w lesie składającéj się z kilku chatek, właściciel przyjął nas jak najlepiéj, był to znany mi z dawna Mpongwczyk zwany Mbouma. Zamieszkał w tych stronach aby podczas pory letniéj zająć się budową łódek z drzew olbrzymich otaczających jego osadę. Musiałem przyznać że obrał sobie za miejsce do pracy najpiękniejszą łąkę jaką napotkałem w Afryce, okryta była tak piękną zielonością i tyloma kwiaty, że błyszczała tęczową barwą podczas wschodu słońca, zwierzęta nawet zdawały się rozumieć jéj piękność, bo małpy uwijały się tak wesoło do koła i ptaki różnokolorowe tak świergotały licznie pomiędzy gałęźmi drzew otaczających, że mało pustyń afrykańskich mogło się poszczycić tak wdzięcznym i ożywionym krajobrazem. Mbouma czasowo tylko zamieszkiwał osadę wraz z żoną, dziećmi i niewolnikami, w chatach zbudowanych na prędce z trzciny i liści. Pokazywał mi grube pnie ściętych drzew na budowę łódek. Niektóre z nich były już zupełnie obrobione i niepozostawało jak spuścić je na pełne morze, co téż było najtrudniejszą rzeczą, z przyczyny że jedyne drzewa zdatne do budowy tych statków, rosną niekiedy w znaczném oddaleniu od brzegu. Łodzie Mpongwów bywają zazwyczaj bardzo duże, trudno więc przenosić taki ciężar; jeżeli niéma w pobliżu spławnéj rzeki, wycinają w lesie ścieżkę wiodącą wprost do morza i z trudnością za pomocą podłożonych pod spód okrąglaków łódź tamtędy przeciągają. Mbouma i co do tego dość szczęśliwe wybrał miejsce, bo morze nie daléj nad dwie mile było oddalone, z przystani zaś do Gabonu wszystkie łodzie razem miały być wodą dostawione. Maleńkie łączki podobne do téj którą opuściłem rozweselały ciągle moje oczy w dalszéj podróży do Sangatanga. Kraj ten cały wieleby zyskał, gdyby był zaludniony ludźmi ucywilizowanego świata. Postępowaliśmy daléj zawsze trzymając się morskiego wybrzeża, w celu dotarcia na noc do jednéj z wiosek zamieszkałych przez pokolenie Sekianisów. Udało mi się w téj przeprawie zastrzelić pięknego orła-rybaka o czarném i białém pierzu, (gypohierax angolensis) który zwieszony na drzewie po nad morzem, upatrywał w wodzie swéj łuskowatéj zdobyczy. O trzeciéj z południa zaszliśmy do osady murzyńskiéj; naczelnik jéj zwany Ogoula Limbai wyszedł na nasze spotkanie wraz z całym swym ludem, składającym się z trzydziestu kilku mężczyzn, sześćdziesięciu przeszło kobiet i z nieprzeliczonego mnóstwa dzieci. Powitał mię uprzejmie i zaprosił do swego domu; tą razą był to dom prawdziwy, wygodniejszy i trwalszy od wszystkich jakie dotąd widziałem w tych stronach. Wszedłszy miałem prawdziwą niespodziankę, zastałem bowiem pokój wyklejony obiciem i zawieszony obrazkami świętych, w pośrodku zaś był stół pokryty białym obrusem, zastawiony wspaniałą pieczenią z dzika. Nasyciwszy głód mój tą wyborną potrawą, prosiłem gospodarza aby mi

wyjaśnił jak się to stało, że zdala od cywilizowanego świata napotkałem wszelkie cywilizacji obyczaje? Ogoula Limbai powiedział mi wtedy że chory cieśla portugalski, pozostawiony w drodze przez handlarza niewolników, był długi czas u niego w gościnie i wybudował dom cały, (mniemam że nauczył go także sposobu przyrządzania pieczeni z dzika). Z dalszego opowiadania odgadłem że gospodarz mój sam handlował niewolnikami i miał przez to sposobność otarcia się o cywilizację której ślady widziałem w jego domu. Jakiebądź było zatrudnienie jego dawniéj, dziś nieśmiałby się pewno pokusić o nic podobnego mimo największéj ku temu chęci. Król przylądka Lopez sam przywłaszcza sobie monopol handlu niewolników, wypędziłby zatém zuchwałego lennika któryby mu chciał przeszkadzać. Ogoula jest jedynym wodzem Sekianisów, któremu wolno zamieszkiwać na wybrzeżu pomiędzy Gabonem a przylądkiem Lopez, albowiem król chcąc sam zagarniać wszystkie korzyści, jest nadzwyczaj niechętny przybyszom, których posądza o jakiekolwiek stosunki z ludźmi białemi. Gdyby Ogoula chciał zawiązać jawne z niemi przymierze, cała wieś jego zostałaby obróconą w perzynę przez zazdrosnego monarchę. Gdyśmy się rozgadali o różnych przedmiotach z moim gospodarzem, opowiedział mi kilka wypadków dowodzących że był zręcznym i śmiałym strzelcem. Pewną razą wyszedłszy na polowanie napotkał dwa słonie, że jednak miał jednę tylko fuzję i nieprzygotował się na tego rodzaju spotkanie, chciał im umknąć zręcznie. Ale rozumne zwierzęta nie dopuściły tego; rad nie rad Ogoula Limbai musiał wystrzelić, słoń którego trafił był na nieszczęście samicą, towarzysz jéj rzucił się więc na strzelca aby jéj śmierć pomścić. Ogoula począł uciekać gdy nagle nogi zaplątały mu się wwijące krzewy i upadł; wtedy dopiero gdy wściekły słoń był już tuż koło niego, wydobył się z sieci i skoczył na pobliskie młode drzewo. Słoń otoczył trąbą pień giętki i wstrząsnął nim straszliwie, Ogoula widząc że drzewo wyrwane zostanie wkrótce z korzeniem, korzystał z jego raptownego pochylenia na bok, aby skoczyć na starodrzew odległy nieco opodal. Tam już bezpieczny, śmiał się z daremnéj wściekłości swego nieprzyjaciela. W ogóle murzyn przytomnością i zręcznością najwięcéj się ratują w podobnych wypadkach, źle albowiem strzelają i rzadko trafią swą zdobycz. Ponieważ ciężar pakunków bardzo utrudził moich ludzi, prosiłem Ogouli o łódź któraby je odwiozła morzem do Sangatanga; przystał na to chętnie. Usnąłem tymczasem na sofie, mały murzynek chłodził mię wachlarzem i trzymał pochodnię któréj dym odganiał zjadliwe komary. Ponieważ mógłem być łatwo okradzionym przez krajowców, (niewyłączając nawet mego gospodarza) przeto rzeczy moje umieszczone były w drugim pokoju pod strażą ludzi którzy je przynieśli. Przespawszy godzinę wstałem i zbudziłem moich ludzi, aby się udać wraz z niemi w dalszą podróż. Doszedłszy do brzegu morza zastaliśmy zgodzony i zapłacony przezemnie naprzód statek, stojący w pogotowiu lecz bez wioseł. Rozgniewany tém, poszedłem ze skargą do Ogouli, odpowiedział mi że wiosła były przy statku ale je zapewne ukraść musiano, innych zaś nie może inaczéj dostarczyć, jak za dodatkiem kilku łokci perkalu i dwóch butelek araku. Niechciałem na to przystać aby mu dać zrozumieć że niepozwolę się tak łatwo oszukać, zmarszczył wtedy brwi chmurnie i uporczywie nie chciał mi dopomódz w moim kłopocie. Ludzie moi tymczasem kłócili się z krajowcami, w końcu jeden z nich ofiarował własne odzienie aby wydostać skradzione wiosła. Byłem z tego bardzo niezadowolniony lecz cóż miałem począć? pocieszałem się tém przynajmniéj, że oszust Ogoula niedostał upragnionego araku, żadném złém nie mógł mi już odpłacić za to. Gdyby nie straż jaką miałem z poddanych Romposzomby niezawodnie byłby mię jeszcze okraść probował. Podobne wydarzenia powtarzały się niejednokrotnie w méj podróży, dają one poznać czytelnikom charakter krajowców. Zaledwie odbiliśmy od brzegu, silny bałwan uderzył o statek przepełniony rzeczami i przechyliwszy go wyrzucił nas wszystkich w wodę. Na szczęście ta woda niebyła zbyt głęboka, wybrnęliśmy jako tako lecz trzeba było zatrzymać się znów czas jakiś na wybrzeżu, aby osuszyć i pozbierać potopione rzeczy. Moi

ludzie sprawili się w tém jak najlepiéj, odzyskałem prawie wszystko z wyjątkiem kilku drobnych paczek. Cieszyłem się szczególniéj tém że mi proch niezamokł. Ponieważ było już dość późno, więc postanowiliśmy zanocować na miejscu. Rozpatrując się do koła rozciągnięty przy rozpaloném ognisku, dostrzegłem w cieniu wzrok przyjaciela mego Ogouli zwrócony na nas ciekawie. Gdy zobaczył że jest odkryty zbliżył się oświadczając swe współczucie nad wypadkiem który mię spotkał, pewien jestem jednakże że gdyby był zastał ludzi moich w rozsypce, byłby mię zrabował w téjże saméj chwili. Powiadają że ręce świerzbią okrutnie murzynów ilekroć widzą zdobycz z morza na brzeg wyciągniętą. Nazajutrz rano wyprawiłem rzeczy statkiem, sam zaś z fuzją i jednym tylko człowiekiem wyruszyłem lądem. Około południa obumierając z głodu przybyłem do wioski, w któréj przecie znalazłem jakie takie pożywienie. W kilka godzin potém byłem znów nad morzem przy ujściu rzeki Rekinów gdzie na mnie czekali moi ludzie i rzeczy. Rzeka Rekinów bierze swą nazwę od niezliczonego mnóstwa tych potworów zamieszkujących jéj wody. Miałem sposobność przekonać się o tém naocznie, ogromne rekiny pływały około naszego wątłego statku z poufałością tak nieprzyjemną, że wątpiłem czasem czy wyjdę szczęśliwie z ich towarzystwa. Murzyni moi chwalili się że mogą wśród nich pozostać w wodzie bezpiecznie, jeżeli tylko niemają na sobie nic w czerwonym kolorze, jakoż rzeczywiście wszyscy prawie przebyli wpław rzekę. Chcieli mię wziąść na plecy, lecz nieprzyjąłem téj propozycji; lubo nie miałem czerwonego ubioru, obawiałem się jednakże aby rekiny niezmieniły dla mnie zwykłych prawideł postępowania. Używają one jak największych przywilejów w téj rzece, nikt nie poważyłby się zabić jednego z nich, w przekonaniu że wtedy nawzajem niezostawiłyby w spokoju ludzi, którym obecnie pozwalają przebywać bezpiecznie pomiędzy sobą. Jest to rzeczywiście rzeczą niewidzianą w innych stronach, gdzie dość na chwilę pokazać się człowiekowi wśród tych potworów aby być przez nich pożartym. Nad samym wieczorem dopiero przybyłem do Sangatanga, po szesnastogodzinnéj pieszéj podróży pod afrykańskiém słońcem czułem się umęczony jak nigdy. Wszyscy podziwiali moją wytrwałość. Zbliżając się do miasta podróżnik dostrzega obszerne łąki których nienapotykał przedtém. Każda łąka otoczona bywa zielonym lasem w którym dzikie bawoły znajdują w dzień schronienie, w nocy bowiem tylko wychodzą na paszę. Lasy te są również siedzibą słoniów, lampartów i całéj tak rozlicznéj fauny téj okolicy, obfitującéj daleko więcéj we zwierzynę aniżeli północne strony Gabonu. Pomiędzy łąkami wznoszą się wszędzie pagórki w rożnych dziwacznych kształtach, na jednym z nich leży miasto, czyli raczéj wieś Sangatanga. Widok do koła ztamtąd prześliczny, niemogłem się nigdy dość nim nasycić, był on niejako wynagrodzeniem za trudy poniesione w podróży po północnéj stronie kraju, gdzie zazwyczaj wybrzeża morskie są bagnami pełnemi zaraźliwych wyziewów, głąb zaś kraju pustynią pozbawioną życia. Na wierzchu pagórka stało mieszkanie króla pokolenia Orungusów których biali zowią mieszkańcami przylądka Lopez. Jest to wódz możny i rządzi despotycznie licznem pokoleniem. Przylądek Lopez zwany dawniéj przez portugalczyków *Lopez Gonsalvez* jest bardzo piękną częścią kraju. W zatokę jego wpada kilka pomniejszych rzek, z których największą jest rzeka Nazareth, przy jéj ujściu stoi maleńka wioska Fisch-Town, sławna z rybołowstwa. Jest tam mnóstwo najdoskonalszych ryb zarówno jak i żółwiów. Król Bongo, gdyby nie wrodzone mu pijaństwo i chęć do włóczęgi, mógłby być bardzo szczęśliwym monarchą. Ziemia jego pokryta jest bujną wegetacją, obfituje nawet w heban i kość słoniową, mimo to handel niewolnikami stanowi jéj główny dochód, kupno ich, sprzedaż a następnie transport do *barakonów* przylądka, stanowi główne zajęcie mieszkańców. Około godziny dziesiątéj zrana nazajutrz po mojém przybyciu, król przysłał swego *mafouga* (to jest marszałka dworu, szambelana, herolda i sekretarza stanu zarazem) do chaty w któréj stanąłem, aby się dowiedzieć coby to był za biały człowiek, oraz w jakim celu przybył? — Ponieważ język Orungusów podobny bardzo do mowy

Mpongwów, odpowiedziałem przeto mafudze, że zanadto jestem utrudzony aby dziś dłużéj rozmawiać, jutro jednakże nieomieszkam złożyć mego uszanowania jego królewskiéj mości i zaspokoić jéj ciekawość; posłaniec zdawał się bardzo zadowolniony z téj odpowiedzi i odszedł podziwiając wytrwałość białego co uszedł tyle mil piechotą. Nazajutrz o godzinie ósméj rano udałem się w odwiedziny do króla Bongo czyli Paskala jak go zowią kupcy. Zamieszkuje on na wzgórzu, a pałac jego otaczają chatki w których mieści przeszło trzysta żon swoich. Ten wspaniały harem (najliczniejszy w tych stronach) stanowi największą chlubę monarchy.

Przy wejściu do wioski spotkał mię mafuga i trzymając wzniesioną w górę laskę królewską, zapytał uroczyście po co przychodzę i czego żądam? Unudzony tą wstępną ceremonją, któréj licznie zgromadzeni krajowcy przyglądali się z widoczném upodobaniem, odpowiedziałam że pragnę widzieć króla. Proszono mię wtedy abym się zatrzymał chwilę, wkrótce zaś potém (zapewne gdy żony królewskie przystroiły się cokolwiek) wpuszczony zostałem do wnętrza pałacu. Była to szkaradna budowa przedzielona dwoma piętrami. Pierwsze piętro składało się z mnóstwa drobnych ciemnych i rozdzielonych jak cele izdebek; w pośrodku była wielka sala, a z niéj brudne i prostopadłe schody prowadziły do obszernéj komnaty, wpośród któréj ujrzałem wreście króla Bonga, otoczonego stoma przynajmniéj żonami i kilkoma wyższemi urzędnikami. Król murzyński był średniego wzrostu, wejrzenia trochę głupowatego, ubrany bardzo lekko, bo tylko w koszulę i w stare wytarte spodnie, nosił na głowie koronę którą zapewne obdarowany został, przez jednego ze swych przyjaciół kupców portugalskich; zarzuconą miał na ramiona żółtą kurtkę obszywaną galonami, która kiedyś zapewne przystrajała lokaja z jakiego znacznego brazylskiego lub portugalskiego domu. Korona była na wzór tych, których aktorzy używają na scenie. Musiała kosztować dawniéj z jakie pięćdziesiąt franków, teraz zaś była znacznie większéj wartości, bo jego królewska mość otoczyć ją kazał szczerozłotą obręczą przynajmniéj za tysiąc franków; bardzo też zdawał się być dumny tą ozdobą, siedząc poważnie na kanapie trzymał w ręku trzcinę w miejscu berła. Wszystkie prawie obecne tam kobiety miały jedwabne suknie; przedstawiono mię pierwszéj żonie czyli królowéj, była to staruszka wcale nieprzyjemna. Król w rozmowie czynił uwagi nad handlem niewolników bardzo niekorzystnym ówczas, narzekał na anglików na których zwalał całą winę i wynurzył w końcu obawę, że za lat kilka zaprzestać będzie może zmuszony swego kupiectwa. Mówił do mnie późniéj po francuzku i opowiedział że podróżował niegdyś po Brazylji i był nawet w Portugalji; przemieszkując przez dwa lata w Lizbonie, nauczył się czytać i pisać po portugalsku, co mu bardzo pomocném było w interesach. Mimo to wszystko znać było widocznie że niewiele korzystał ze swych podróży, przeciwnie nabrał w nich różnych złych nawyknień nieznanych mu przedtém. Opowiedział mi jeszcze w dalszym ciągu, że cała wieś zapełnioną była jego rodziną i niewolnikami, że około dwustu ludzi zajmowało się w głębi kraju uprawą pól do niego należących. Gdy zapytałem ile ma dzieci? odparł że nie wie tego z pewnością, lecz sądzi że najmniéj musi ich mieć około sześciuset. Zauważałem późniéj że nieomylił się w rachubie. Nazajutrz mafuga zawiadomił mię o przybyciu króla w odwiedziny do mnie po południu. Przygotowałem wszystko stosownie, na przyjęcie tak znakomitego gościa w domku który zajmowałem. Około godziny drugiéj uderzenia w bębny oznajmiły mi zbliżenie całego orszaku króla Bongo. Wkrótce dostrzegłem monarchę na czele całego ludu; niesiono go w płóciennym hamaku niby w lektyce. Wyszedłszy na spotkanie dostrzegłem że niemoże się poruszyć, z początku sądziłem że pijany, lecz późniéj przekonałem się że miał odjętą władzę w lewéj ręce i nodze. Posadzono go na przygotowaném krześle, sześć kobiet z wachlarzami w ręku stanęło do koła, reszta zaś rodziny umieściła się jak mogła. Po chwili zauważyłem że wszystkie kobiety były pijane. Jego królewska mość zatrzymała się w pochodzie około faktorji niewolników i tam uczęstowano arakiem jéj orszak, a damy

dworskie postarały się o większą porcję tego trunku. Bongo nosił ubiór wczorajszy z wyjątkiem korony którą miał zupełnie odmienną. Prosiłem o pozwolenie bliższego jéj obejrzenia, gdy ją zdjął z głowy poznałem że również tworzyła niegdyś część teatralnego ubioru. Obecnie lśniła jeszcze fałszywemi kamieniami oprawnemi w złote ozdoby, wartości około pięciu tysięcy franków. Król zdawał się być bardzo pyszny z tego klejnotu. Gdy mu go zwróciłem nieszczędząc pochwał, wpadł nagle w gniew wielki i wyrzekł że chciałem go bezwątpienia obrazić, bo żaden jeszcze hiszpan, portugalczyk, anglik, francuz, ani amerykanin niepoważył się zażądać aby zdjął koronę! Tłomaczyłem się ciekawością widzenia dokładniéj, wszystkich części składających przedmiot tak piękny i wspaniały, odpowiedź ta uspokoiła trochę rozgniewanego władzcę, jął mi opowiadać że ta przepyszna korona była darem znakomitego handlarza portugalskiego don Józefa, złożonym w imieniu jednego z najznakomitszych domów kupieckich w Rio Janeiro, z którym często miewał interesa. Podczas téj rozmowy jedna z dam trącała mię zlekka w nogę spoglądając przyjaźnie, udałem że tego niespostrzegam, gdyż niemiałem bynajmniéj ochoty obudzić afrykańskiéj zazdrości króla jéj małżonka. Przy końcu wizyty wszystkie panie poczęły się dopominać natarczywie abym je poczęstował arakiem; odmówiłem temu żądaniu lecz w zamian ofiarowałem im tytuń, królowi zaś dałem dwie sztuki perkalu które go mocno uradowały. Na wychodném ludzie moi uczcili go wystrzałem z karabinów, co znów pochlebiło niezmiernie jego próżności. Następnego dnia wydano dla mnie bal u dworu. Sala audiencjonalna przemieniła się w balową; gdy przyszedłem o zmierzchu zastałem już zgromadzonych około stopięćdziesiąt żon królewskich, niektóre z nich uchodziły za najlepsze tancerki w całym kraju. Śpiewy rozpoczęły się niebawnie, wtoczono baryłkę araku i uczęstowano najpierw każdą z dam, poczém śpiew na chwilę przerwany ciągnął się daléj. Nie zawsze mogłem dobrze uchwycić słowa, przytoczę jednakże kilka wierszy aby dać wyobrażenie o całości. Nuta na którą śpiewano następujące wyrazy była żałośna i dysharmonijna:

Póki żyjemy zdrowi,
Śpiewajmy, bawmy się i tańczmy,
Bo po życiu śmierć przychodzi,
A wtedy zgniłe ciało robak pożera,
I wszystko się kończy na wieki.

Skoro rozochocono się tym śpiewem, król siedzący dotąd na uboczu wraz z kilkoma faworytkami, dał znak aby rozpocząć tańce. Wszyscy przytomni zanucili wtedy pewną zwrotkę towarzyszącą zwykle uderzeniom w bęben (tam-tam) a sześć kobiet puściło się w taniec którego nieprzyzwoitych figur opisać tu niepodobna, dość powiedzieć że starały się w nich przesadzać jedna drugą. Gdy były strudzone zastępowało je z kolei znów sześć innych tancerek i w ten sposób bal się ciągnął już przeszło dwie godziny. Dzięki znacznéj ilości araku i ożywieniu tańca zebranie dworskie stało się tak hałaśliwém, że myślałem już jakby umknąć do domu; król odgadłszy ten zamiar zatrzymał mię koniecznie. Sam wraz z poddanemi bawił się jak najlepiéj, niepojmował zatém przyczyny méj ucieczki. Co chwila inne kobiety występowały pojedynczo teraz w tańcach *solo;* widzowie dawali brawo w miarę jak ruchy ich i gesta stawały się coraz nieprzyzwoitsze. Na ostatku dwie młode dziewczyny rzeczywiście bardzo ładne, stanęły przedemną trzymając się za ręce i rozpoczęły tańczyć; oświadczyły mi potém że były córkami króla i że jego królewska mość życzy sobie bardzo abym je pojął za żony. Odmówiłem téj miłéj propozycji z uszanowaniem lecz z wielką stałością zarazem. Powietrze sali stawało się coraz nieznośniejsze dla zmysłu powonienia, niemogąc już wytrzymać dłużéj wymknąłem się niepostrzeżony. Nazajutrz poszedłem obejrzeć barakony; przylądek Lopez jest wielkim sklepem niewolników, był on dawniéj najznaczniejszym punktem tego handlu na wybrzeżu, ciekawy byłem niezmiernie zobaczyć w jaki sposób urządzają sprzedaż. Przebyłem najpierw wielką równinę w któréj porozrzucane były maleńkie osady otoczone każda z osobna lasem drzew i krzewów. Niebudują tam zwyczajnych wiosek, z przyczyny że dawniéj anglicy palili je nieraz chcąc zniszczyć gniazda handlu niewolnikami, rozrzucone zaś pojedyncze chaty otoczone doko-

ła żywym parkanem, zniszczyć nie tak łatwo. Dwa są barakony w téj stronie, zwiedzany obecnie przezemnie należał do portugalczyków. Na zewnątrz przedstawił się jako plac ogromny otoczony bardzo wysoką palisadą; wszedłszy do środka roztwartą bramą, ujrzałem mnóstwo szop ocienionych drzewami. W tych szopach leżeli murzyni powyciągani niedbale. Stary portugalczyk który mi się wydał chorym, zaprosił mię uprzejmie do domu ludzi białych, budynku o dwóch piętrach stojącego wprost bramy. Dom ten był umeblowany bardzo nędznie, właściciele jego mieli jednakże łóżka, stoły, krzesła etc. etc. Na nieszczęście nieumiem mówić po hiszpańsku ani po portugalsku, przewodnik zaś mój nieznał angielskiego ani nawet francuzkiego języka, musieliśmy zatém użyć tłomacza krajowca który zaledwie wydołał obowiązkowi mówienia za dwóch. Portugalczyk zaczął najpierw uskarżać się na obecny upadek swego handlu; aby go zachęcić do większéj szczerości oświadczyłem zaraz, że nie jestem kupcem lecz wprost tylko badaczem przyrody który pragnie rozpoznać kraj cały. Oprowadził mię wtedy po wszystkich częściach zakładu; weszliśmy najpierw w obszerny oparkaniony dziedziniec, przeznaczony na pomieszczenie niewolników męzkiego rodzaju. Stali oni przywiązani po sześciu na raz za pomocą mocnego bardzo łańcuszka przeciągniętego przez obróże na szyi. Ten sposób więzienia ma być najbezpieczniejszy, rzadko się albowiem zdarza aby sześciu ludzi zgodzić się mogło co do sposobu ucieczki. Spoczywają pod szopami dokoła parkanu, gdzie niegdzie stoją wiadra z wodą w któréj wolno im gasić pragnienie. Za tym dziedzińcem był drugi również zabudowany, dla kobiet i dzieci spacerujących już z niezwiązanemi rękami. Mężczyźni niemieli na sobie żadnego ubrania, kobiety zaś okręcały się sztukami perkalu od pasa po kostki. Daléj był szpital czyli infirmerja dla chorych, widna, czysta i bardzo dobrze urządzona, za nią kuchnia gdzie w wielkich kotłach gotowano ryż i bób zwyczajną żywność niewolników. W każdém oparkanioném miejscu dozorcy portugalczycy czuwali nad porządkiem, niewolnicy zaś sami musieli czyścić wszystko, od czasu do czasu prowadzono ich do morza aby się wykąpać mogli. Zauważałem że niektórzy z nich byli dość weseli, inni znów bardzo smutni. Nieszczęśliwe te istoty wyobrażają sobie podobno zawsze że ludzie biali są wielkiemi ludożercami i jedynie na rzeź ich zakupują. Uważałem że wszyscy prawie niewolnicy mówili różnemi djalektami i rzadko nawet rozumieli się pomiędzy sobą. Pochodzą oni z różnych stron Afryki; Sekianisy, Bakalajsy i inne pokolenia z głębi kraju, pod pozorem czarnoksięztwa i różnych podobnych obwinień sprzedają swoich współbraci i napełniają niemi barakony Sangatangi. Szerokie strumienie wpadające do rzeki Nazareth ułatwiają spław towaru, drobne zaś zatoki dokoła przylądka, są bezpieczném schronieniem dla ściganych nieraz statków kupieckich. Dzień cały zeszedł mi na oględzinach; powróciwszy do siebie w wieczór gdy zapaliłem pochodnię, dostrzegłem coś świecącego na łóżku, zbliżywszy się rozpoznałem łuskę olbrzymiego węża zwiniętego spokojnie w trąbkę. Strzelba moja była po nad łóżkiem, zdjąłem ją ostrożnie i odsunąwszy się opodal dałem ognia. Strzał nie chybił gdyż potwór spadł na ziemię rozcięty na dwoje. Wił się jeszcze, dobiłem go więc kolbą, zauważałem wtedy że wyrzucił z siebie całą kaczkę którą widać połknął niedawno i zamyślił strawić na mojém łóżku. Miły ten towarzysz który miał zemną dzielić nocny spoczynek był długi na stóp ośmnaście. Murzyni zbiegli się na odgłos strzału, sądzili bowiem że zabiłem złoczyńcę czychającego aby mię okraść, dowiedziawszy się co zaszło odeszli spokojnie; położyłem się, lecz noc całą śniłem o wężach, gdyż wyznać muszę że gady te mam w wielkiém obrzydzeniu. Nazajutrz zwiedziłem znów barakon; był on czyściejszym nieco od pierwszego lecz w ten sam sposób urządzony. Podczas méj bytności przyprowadzono na sprzedaż dwie młode kobiety i pietnastoletniego chłopca. Chłopiec nabyty został za baryłkę araku, kilka łokci perkalu i trochę paciorek, kobiety nierównie drożéj zapłacono. Za każdą z nich dano: fuzję, duży półmisek miedziany, sześćdziesiąt łokci perkalu, dwa noże, dwa pilniki, dwa talerze, dwa zwierciadełka, dwa zamki, dwie sztaby żelaza, baryłkę

prochu, oraz trochę tabaki i szklannych paciorek. O godzinie drugiéj z południa ujrzano statek handlarza niewolników, był to *schooner* o stu siedmdziesięciu beczkach; na pałacu królewskim wywieszono wnet chorągiew uwiadamiającą o jego przybyciu; podsunął się szybko i stanął niedaleko od brzegu. W téj saméj chwili popędzono ku niemu dwie gromady niewolników; mężczyzni byli skuci po sześciu, uważałem jednakże, że ich umyto i czysto ubrano. Wpakowano ich po sześćdziesięciu w wielkie łodzie; uczucie zgrozy i przerażenia wybitném było w całéj postawie tych nieszczęśliwych istot. W barakonach żywiono ich dobrze i obchodzono się z niemi łagodnie, obecnie zaś nieznali dalszego przeznaczenia, a wszystkie straszne powieści o ludożerstwie białych, stawać im musiały przed oczyma. Gdy łodzie odbiły od brzegu nowe ogarnęło ich przerażenie, niebyli bowiem nigdy na morzu i sądzili że zatoną. Wioślarze śmieli się do rozpuku z ich przestrachu, w miarę jak łodzie pochylały się pchane przez bałwany. Okręt handlarski w przeciągu dwóch godzin ukończył swą czynność i odpłynął również szybko jak przybył, zabrawszy sześciuset niewolników. Nie wywiesił żadnéj bandery a jednakże mieszkańcy poznali go od razu. Z budowy statku wnosiłem że był amerykańskim. Okręty tego rodzaju najczęściéj od nas pochodzą, bywają jednakże pomiędzy niemi hiszpańskie, portugalskie i sardyńskie statki. Mówiono mi że zdarzało się nieraz widzieć statki zajmujące się połowem wielorybów zabierające niewolników; gdy ich wysadziły na brzegach Kuby lub Brazylji, odpływały na powrót i zajmowały się znów spokojnie rybołostwem. Handel niewolnikami upadł najwięcéj przez cios który mu zadali brazylijczycy, przestraszeni tém że ludność murzyńska w ich kraju białą przewyższać poczęła. Gdyby Kuba podobnie postąpić chciała, upadłby prędzéj aniżeli przez stróżowanie wszystkich okrętów z całego świata; trudno albowiem niezmiernie ustrzedz wybrzeże mające 4,000 mil rozciągłości.

(D. c. n.)

UBIORY.

Z prawdziwém zadowoleniem wyrzec możemy, że zamiłowanie w strojach które przed parą jeszcze laty tak silnie u nas zaprzątało niektóre głowy kobiece, obecnie rzadkim już tylko gdzie niegdzie jest objawem. Aby zapełnić konieczny w piśmie naszém artykuł o ubiorach (który zapełniać coraz cięźéj nam przychodzi) zwiedziliśmy słynny z dobrego smaku magazyn pani Adeli Hoffmanowéj, która powiadomiła nas uprzejmie o tém co noszą. Nowości nié ma żadnych, prócz tego chyba że nawet przedmioty zbytku w haftach, koronkach i wszystkiém co nosi nazwę francuzką *lingerie*, są teraz zupełnie odrzucone, a miejsce wykwintnych kołnierzyków, szmizetek i mankietów, zastępują gładkie czarne tiulowe rękawki i krezki. Siatki tak niekosztowne a trwałe, zabiły rozlicznego rodzaju czepeczki i stroiki których już niewidać prawie, słowem rzeczy mniéj wykwintne a tańsze zajęły miejsca zbytkowych elegancji; czas téż wielki po temu. Kapelusze noszą zawsze podniesione po nad czołem, najwięcéj zupełnie czarne i czarno podgarnirowane; jeżeli w podpięcie wciśnie się biały kwiatek lub piórka, to co najwięcéj. Kapelusze słomkowe w naturalnym kolorze ubrane czarno używają się rzadko kiedy. Okrągłe kapelusze z dość wysoką główką zwane tutaj *tyrolskie*, w Paryżu zaś *à la Henri IV* są w tym roku najwięcéj używaną nowością, zdobią je piórami. Powinny one właściwie być noszone tylko na spacery przez młode osoby. Najmłodsze nawet panienki noszą na wizyty kapelusze zwyczajne, podniesione po nad czołem. Kapelusze tak zwane węgierskie strojne białym skrzydełkiem bywają jeszcze używane lecz nie są już nowością, gdyby tu zaś nas o radę pytano, nie doradzilibyśmy ich nikomu, gdyż są zanadto pretensjonalne i raczéj na kostium zakrawają aniżeli na ochronę od promieni słonecznych, od których kapelusiki tyrolskie bardzo dobrze zasłonić mogą. Oprócz burnusów mantynowych i kaszmirowych używają na ulicę krótkich paletocików z tego materjału co suknia zwanych *saut de barque* nie *saut en barque* jak je mylnie nie raz zowią. Ponieważ skromność w ubiorach jest modą głównie panującą, zatém suknie robią się gładkie, bez tych owych tysiącznych ozdób, które kosztowniejsze nieraz

od samego materjału na suknię. Z materji wełnianych najwięcéj używane *Valencias* i *Alpaga* i inne znane już dobrze z nazwy i z ceny. Sukien bareżowych niewidać bo pod bareż potrzebna zwykle jedwabna spódnica co już czyni suknię kosztowniejszą. Na suknie czarne jedwabne są bardzo piękne nowe gładkie materje jako to: *Gros-Pondichery*, *Gros de Tours*, *Gros des Alpes* i t. p., ale ich nikt prawie niekupuje bo za drogie, a nasze kobiety (pominąwszy nieliczne pomiędzy niemi wyjątki) jak to już mówiliśmy, zalecają się obecnie umiarkowaniem w wydatkach na stroje. Jedyny wyrób jedwabny którego sobie pozwalają jest fular. Ale bo téż fulary zalecają się przystępniejszą ceną, są nadto lekkie i bardzo trwałe. Dawniéj fulary używane bywały najczęściéj na ranne ubrania, teraz zaś noszą się dzień cały. Mówiła nam pani Adela że od dawna już w jéj magazynie nie wyrabiają ubiorów na różne pory dnia jak to niegdyś bywało, inny kostium na rano, inny na południe, inny na popołudniu, a inny na wieczór. Dziś w co kto się ubierze rano, w tém cały dzień przechodzi. Mówimy tu o ogóle kobiet, bo wyjątki w powszechném usposobieniu zawsze znaleźć można, lecz one już wtedy praw nie dyktują. Dziecinne nawet ubiory, któremi niebaczne matki rozbudzały próżność w sercach młodych dziewcząt od kolebki prawie, już dziś również nie tyle zbytkowe i rzadko już kiedy serce nam się ściśnie boleśnie, napotykając jednę z tych strojnych kolorowych laleczek, która od dzieciństwa nauczona strój miłować, zazwyczaj z postępem czasu tylko na dużą bezmyślną lalkę się zamienia.

Jedwab który się nie zużywa obecnie u nas na suknie kobiece, obrócony bywa na męzkie koszule. Podobały nam się szczególniéj w magazynie pana Szlenkera koszule z fularu w kolorze szarego płótna po 42 złp. jedna. Są także i w innych kolorach. Magazyn p. Szklenkera ma wielki zapas okryć po najprzystępniejszych cenach są bowiem paletoty i burnusy tak zwane madrasowe popielate po złp. 40. Te ostatnie radzimy szczególniéj prenumeratorkom naszym wiejskim, nic bowiem tańszego a zarazem lepszego w podróży od kurzawy i słońca. Okryć czarnych zupełnie niewarto obracać na podobny użytek, bo niszczeją nader prędko. Oprócz okryć lżejszych widzieliśmy ładne burnusy korcikowe czarne po złp. 80 i 90. Talmy czyli rotondy to jest burnusiki krótkie po złp. 86 gr. 20 i 73 gr. 10. Jedna z nich była bardzo ozdobna czarna kaszmirowa, oszyta szeroką czarną koronką, po nad którą szedł czarny jedwabny haft. Były także Talmy czarne mantynowe po złp. 66 gr. 20. Burnusy czarne kaszmirowe różnych fasonów, jeden z nich miał pelerynkę w kształcie chustki okładanéj mantyną i oszytéj jedwabną frendzlą, któréj jeden koniec zarzucony był na plecy. Ładne także były burnusy popelinowe czarne, oraz czarne mantynowe, te ostatnie lekkie są i szczególniéj dobre w upały. Widzieliśmy również wiele czarnych mantynowych mantylek, które znów weszły w używanie. Mantylki te jednakże używają się raczéj w pokoju, aniżeli do wyjścia na ulicę. Oprócz okryć, są w tymże magazynie całe suknie kobiece gotowe, to jest spódniczki z żuawkami, paletocikami lub rotondami. Spódnice w pasie zaprzestają się już układać w kontrafałdy, dają tylko z przodu jeden kontrafałd płaski i szeroki na ćwierć łokcia przeszło, a drugi podobnyż z tyłu, z boków zaś układają zwyczajne fałdy zwrócone ku przodowi.

Objaśnienia tablicy haftów na miesiąc Lipiec.

Ner 1. Połowa chusteczki *(canzou)* muślinowéj lub tiulowéj, deseń płaskiém dzierganiem *(point de rose)*.
„ 2. Koniec od jednéj połowy chusteczki — przyszywa się w miejscu gdzie litery A. B.
„ 3. Figura całéj chusteczki od przodu.
„ 4. Figura chusteczki ze strony pleców.
„ 5. Rękaw zastosowany do téjże chusteczki — przyszywa się do krótkiego rękawa sukni.
„ 6. Róg chustki od nosa.
„ 7 — 8. Rzuciki.
„ 9 — 10 — 11. Szlaczki.
„ 12 — 13 — 14 — 15 — 16 — 17 — 18. Cyfry.
„ 19. Torbeczka — aplikacja sukna lub aksamitu na tybecie. Deseń jasno zielony, tło ciemne tegoż koloru. Torbeczka ta po wykończeniu daje się do oprawy.
„ 20. Szlak, haftem angielskim i płaskiém dzierganiem.
„ 21. Szlak dzierganiem i tasiemeczką.
„ 22 — 23 — 24. Szlaczki.
„ 25 — 26 — 27 — 28. Tarcze do cyfr.
„ 29 — 30. Kołnierzyk i mankiet wyszyty na białém czarną tasiemeczką.
„ 31 — 32. Szmizetka do otwartéj sukni i mankiet.
„ 33. Bluzka biała muślinowa ze wstawkami, dla młodéj panienki.
„ 34. Krawatka biała muślinowa.
„ 35 — 36. Szmizetki z kołnierzykami.
„ 37. Mankiet z cienkiego płótna oszyty koroneczką.
„ 38 Figura całego mankieta.



1059

Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90 Paris

KOŁKO DOMOWE

Lipiec 1863



№ 13.
MB
№ 14.
№ 15.
№ 16.
LB
№ 17.
RL
№ 18.
№ 1.
№ 2.
№ 3.
№ 4.
№ 5.
№ 6.
№ 7.
№ 8.
№ 9.
№ 10.
№ 11.
№ 12.
№ 18.
KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Lipiec 1863 r.



№ 19.
№ 20.
№ 21.
№ 22.
№ 23.
№ 24.
№ 25.
№ 26.
№ 27.
Klapka do drugiej połowy Mankietu
Stemberka
№ 28.
№ 29.
№ 30.
№ 31.
№ 32.
№ 33.
№ 34.
№ 35.
№ 36.
№ 37.
Koronka
Stemberka
Płótno dubeltowe
Koronka
zmarszczenie
№ 38.